NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 6 lipca 1907. Nr. 27.

Potworne zbrodnie. (Treść na stronie 2).



Treść numeru: Zlot Sokołów we Lwowie. — Wiedeńscy dygnitarze w Krakowie. — II. Wiceprezydent miasta Lwowa. — Uroczystość wojskowa w Przemyślu. — Z konserwatoryum krakowskiego. — Wiejskie towarzystwo amatorskie. — Sprawa o samosąd w Warszawie. — Zwycięstwo Bülowa. — Aresztowania w Warszawie. — Tragiczny wypadek. — Echa morderstwa Herzensteina. — Opera lwowska w Krakowie. — Niezwykła zbrodnia. — Na wulkanie itd. itd.

Od Administracyi.

Ponieważ z numerem dzisiejszym kończy się kwartał drugi wydawnictwa, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

Przedpłatę nadsyłać najlepiej wprost do naszej Administracyi centralnej pod adresem:

Kraków, ul. Zacisze 7.

a w Królestwie Polskiem do Biur G. Ungra w Warszawie: ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Kto nie nadeśle przedpłaty najpóźniej do 10-go lipca, temu już nie wyślemy najbliższego numeru.

Nowoprzystępujący prenumeratorowie otrzymają **bezpłatnie** początek drukującej się w „Now. Illustr.“ powieści **A. Gruszeckiego** pod tytułem:

„Na wulkanie“.

Potworne zbrodnie.

(Do illustracyi tytułowej).

Szereg strasznych, potwornych zbrodni popełniła w drugiej połowie czerwca zorganizowana szajka rozbójników i morderców w okolicy Gródka Jagiellońskiego pod Lwowem. Słysząc szczegóły okropnych mordów, przychodzi się do przekonia, że motywem, który popchnął szajkę zwyrodnionych indywiduów do bandyckich napadów, była nietylko chciwość i żądza pieniędzy, ale jakieś nieludzkie i dla ludzkiego umysłu niezrozumiałe zwyrodnienie, jakaś niepojęta, dzika żądza krwi. Rozkosz sprawiał tym bandytom widok tarzających się we własnej krwi ofiar, z lubością wsłuchiwali się oni w jęki i przedśmiertne charczenie mordowanych Wpatrując się w konwulsyjnie drgające ciała, potrafiły te wyrodki zasiąść do stołów suto zastawionych i spożyć wieczerzę!...

Lista mordów, dokonanych w przeciągu zaledwie kilku dni, jest wcale długa. Oto bandyci podlwowscy zastrzelili i obrabowali karczmarza w Dobromilu, następnie zamordowali poborcę myta w Gródku, Rottmana, dokonali rabunkowego napadu na karczmę Hersza Hansla w Czerlanach, któremu zabrano gotówkę, bieliznę i zapasy wódki, wreszcie zamordowali karczmarza w Tuligłowach Gedaliego Schlaffa, a żonę jego ciężko pokaleczyli.

Wieści o okropnych mordach przechodziły z ust do ust, szerząc w całej okolicy, gdzie bandyci grasowali, paniczny wprost strach przed mordercami. Żandarmerya prowadziła pilnie śledztwo, nie mogła jednak przez dłuższy czas natrafić na jakikolwiek ślad sprawców. I zdawało się, że ujdą oni bezkarnie rąk sprawiedliwości, a przynajmniej, że niejedną jeszcze zbrodnię podobną spełnią. Na szczęście stało się inaczej i po mozolnych usiłowaniach udało się organom bezpieczeństwa całą szajkę bandycką ująć i zamknąć w więzieniu, skąd nieprędko chyba uda im się wydobyć na wolność.



Zlot Sokołów we Lwowie: Antoni Durski, pierwszy naczelnik Sokoła-Macierzy we Lwowie i naczelnik Związku towarzystw sokolich.

Szajka ta składała się z sześciu osób. Hersztem ich był Piotr Czybak, a członkami: Teodor Tyszek, Stefan Hałuszczak, Katarzyna Tyszkowa, oraz Barbara i Marya Czybakowe. Wszyscy oni mieszkali stale we Lwowie i stamtąd wyjeżdżali w okolice celem dokonania morderczych rozbojów. Tam też zostali uwięzieni, a następnie odwiezieni do sądu w Sądowej Wiszni, gdzie przeciw nim prowadzi się śledztwo.

Z pomiędzy dokonanych przez uwięzionych właśnie bandytów morderstw i rabunków, najstraszniej, najgroźniej przedstawia się ostatnie ich krwawe dzieło: mord w Tuligłowach.

Oto szajka bandytów wpadłszy w nocy do karczmy, w której mieszkał Gedalie Schlaff i jego młoda żona, kilku strzałami z rewolweru pozbawiła Schlaffa życia; ujrzawszy męża zbroczonego krwią na ziemi, Schlaffowa schroniła się czemprędzej w wielki otwór pieca. Nie uszła im jednak w ten sposób, gdyż krwiożercze rzezimieszki szukali jej po wszystkich zakątkach i wreszcie odnaleźli ją, a wówczas herszt bandy, Piotr Czybak, strzelił do niej kilkakrotnie i ciężko ją zranił. Po tym czynie rozpoczął się rabunek. Złoczyńcy brali wszystko, co tylko przedstawiało jaką wartość, głównie zaś szukali pieniędzy. W ciągu rabunku raz jeszcze natknięto na Schlaffową i wówczas to „dla pewności“ Czybak jeszcze raz strzelił do niej i to z tak nieznacznej odległości, iż koszula na nieszczęśliwej kobiecie się zajęła. Zraniona w pierś, usunęła się Schlaffowa na podłogę i tam padła bez zmysłów. Życie młode jednak nie uszło. Po chwili wróciła jej przytomność i kobieta ta z nadludzkim iście wysiłkiem zdołała uciec ze straszego domu w pole, a chociaż ją bandyci raz jeszcze gonili i raz jeszcze kulą ugodzili, mimo wszystko potrafiła ujść z życiem do pobliskiego dworu, gdzie udzielono jej pomocy lekarskiej.

Kiedy następnie żandarmerya i policya lwowska ujęły bandytów, Schlaffowa ułatwiła swemi zeznaniami śledztwo, gdyż rozpoznała rzezimieszków, którzy w krwawym napadzie brali udział.

Zlot Sokołów we Lwowie.

Z całego kraju, od Wisły po Zbrucz, zleciało się szare ptactwo sokole do stołecznego grodu Lwa, by złożyć cześć swej Macierzy zasłużonej, by oddać hołd pamięci grona ludzi, którzy przed laty czterdziestu podnieśli wysoko sztandar sokoli i rozpoczęli — pierwsi w Polsce — pracę dla szczytnej idei sokolej.

Lwów jest kolebką Sokoła w Galicyi. Tam padło po raz pierwszy hasło fizycznego odrodzenia społeczeństwa, aby tą drogą obudzić je z apatyi i dźwignąć z uśpienia, aby dać mu zdrowie i siły na walkę dalszą. Pod hasłem „w zdrowem ciele zdrowy duch“, rozpoczęła się we Lwowie propaganda idei sokolej i zataczając coraz szersze kręgi, objęła w końcu kraj cały, doszła do najdalszych nawet jego zakątków.

Pierwsze gniazdo założone zostało we Lwowie w 1866 r. a na jego czele stanęli: dr. Józef Milleret, Jan Aleksander hr. Fredro, Jan Dobrzański, Karol Mikuli, Jan Milikowski, Paweł Praun, dr. Zygmunt Rieger, Zygmunt Sawczyński i Juliusz Starkel. Wśród niesłychanie trudnych i ciężkich warunków rozpoczęli ci ludzie pracę, walcząc nieustannie z brakiem funduszów na najkonieczniejsze potrzeby, walcząc nadto z nieufnością a nieraz i niechęcią ogółu. Zapał ich jednak i poświęcenie przełamały wszystkie zapory, Sokół lwowski rozwijał się coraz piękniej, powołując do życia coraz nowe gniazda w kraju, a nawet po za jego granicami — w Poznańskiem.

W r. 1892 rozpoczęła się nowa era w dziejach Sokolstwa; oto po pierwszym ogólnym zlocie powstał „Związek polskich gimnastycznych towarzystw sokolich w Austryi“, obejmujący obecnie prawie wszystkie gniazda galicyjskie i bukowińskie, oraz śląskie.

Czterdzieści lat minęło właśnie od chwili, gdy Sokół lwowski rozwinął swe skrzydła do lotu. Aby rocznicę tę pamiętną uczcić godnie i odpowiednio, urządzonym został w dniach 29 i 30 czerwca Zlot okręgu lwowskiego.

Uroczystości jubileuszowe rozpoczęły się już w piątek wieczorem. Kończono ostatnie przygotowania, witano zjeżdżających tłumnie do Lwowa druhów, wi-



Fot. M. Münz we Lwowie.

Zlot Sokołów we Lwowie: Fragment z pochodu; oddział konny w pochodzie przez ul. Karola Ludwika i pl. Maryacki.

tano uroczyście przy dźwiękach muzyk. Wieczór tego dnia odbyło się na Strzelnicy zebranie towarzyskie.

W sobotę po próbie ćwiczeń, zebrało się Sokolstwo w liczbie około 3.000 druhów, oraz tłumy publiczności na boisku, gdzie ks. prałat Lenkiewicz odprawił uroczystą mszę polową. Po nabożeństwie wygłosił ks. biskup Bandurski podniosłą, patryotyczną przemowę, a następnie przemawiali prezes Sokoła-Macierzy dr. Czarnik i prezes Związku dr. Fiszer.

Z boiska ruszyło Sokolstwo w olbrzymim pochodzie ku miastu. Był to pochód imponujący i wspaniały, imponujący nietylko ilością zastępów, ale i ich karnością i sprawnością. Z oddziałem konnym na czele posuwał się olbrzymi, długi a barwny wąż ulicą Łyczakowską, Czarnieckiego, pl. Bernardyńskim, Halickim i Maryackim, ku kolumnie Mickiewicza. Na pochód ten patrzały tysiące i rosły w nich serca, rosła nadzieja lepszej przyszłości. Zapał udzielał się wszystkim, wywołując okrzyki entuzyastyczne i oklaski, huczne zwłaszcza wówczas, gdy wśród amarantowych koszulek sokolich pojawiły się brunatne lub białe sukmany włościan-Sokołów. I sypały się kwiaty, sypały bukiety, rzucane szczerze i serdecznie jako wyraz podniosłych i szczytnych uczuć.

Plac Maryacki, w chwili gdy tam Sokolstwo stanęło, aby oddać hołd Mickiewiczowi, chwytał za oczy swą barwnością. Wszystkie gmachy udekorowane były suto dywanami i draperyami, flagami i chorągwiami biało-czerwonemi. Plac zajęła publiczność, przeważnie panie w jasnych strojach. Otwarte parasolki o kolorach znowu przeważnie białych i czerwonych, odcinały się jak plamy czerwonych lub białych maków na płaszczyźnie łąki. Promienie południowego słońca grały przecudnie w tych kolorach.

Po rozwiązaniu się pochodu, nastąpiło poświęcenie drugiego gmachu Sokolego w ulicy Sokoła, gdzie prócz ks. arcybiskupa Bilczewskiego przemawiali prezes dr. Czarnik, marszałek hr. Badeni, prezydent Ciuchciński, prezes Sokoła krakowskiego p. Turski, oraz po węgiersku delegat tow. koszutowskiego dr. Lanszi Simon.

Popołudniu odbyły się na boisku wspaniałe ćwiczenia, w których wzięło udział blisko półtora tysiąca druhów, a nieprzeliczone tłumy publiczności przypatrywały się dziarskim zastępom, wykonywującym w takt muzyki rytmiczne ruchy. Późnym wieczorem dopiero skończyły się ćwiczenia, a znużone zastępy zeszły z boiska wśród długo niemilknących oklasków publiczności. Zakończeniem dnia tego był raut w ratuszu, oraz uroczyste przedstawienie w teatrze.

W niedzielę przed południem oddało Sokolstwo cześć poległym w 1863 r. żołnierzom, a następnie dokonano poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach Sokoła II. Popołudniu odbyły się na boisku ćwiczenia gimnastyczne, przy niemniejszym, jak pierwszego dnia udziale publiczności. Na zakończenie uroczystości Sokolich odbyły się w poniedziałek zawody, urządzone przez Sokół oraz Tow. zabaw ruchowych.

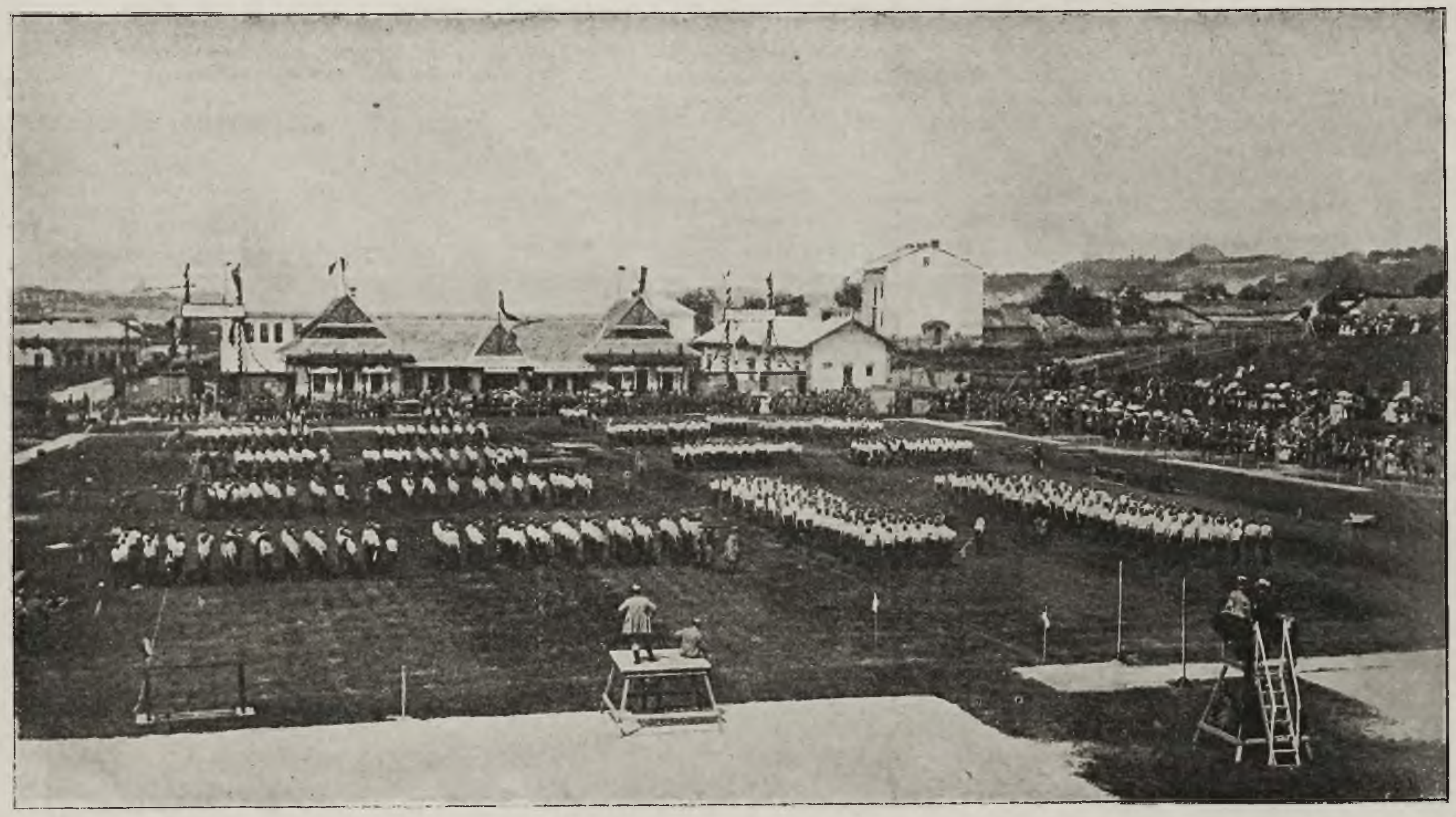
W uzupełnieniu tego artykuliku zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg zdjęć ze zlotu lwowskiego, a mianowicie przedstawiające mszę polową na boisku, dalej oddział konny Sokoła w pochodzie na czele zastępów pieszych, hołd Sokolstwa pod kolumną Mickiewicza, ćwiczenia gimnastyczne oraz portret zasłużonego naczelnika Sokoła, druha Antoniego Durskiego.



Fot. M. Münz we Lwowie.
Zlot Sokoła we Lwowie: Sokolstwo składa hołd Mickiewiczowi. Pod pomnikiem reprezentanci kraju, miasta i Związku Sokolego ze związkowym sztandarem.



Fot. M. Münz we Lwowie.
Zlot Sokołów we Lwowie: Msza polowa na boisku sokolem.



Zlot Sokoła we Lwowie Ćwiczenia gimnastyczne na boisku Fot. M. Münz we Lwowie.

Wiedeńscy dygnitarze w Krakowie.

Pisząc w poprzednim numerze „Now. illustrowanych“ o krajowym związku turystycznym, wspomnieliśmy o mającej w najbliższych dniach nastąpić wycieczce kilkudziesięciu urzędników ministeryalnych wiedeńskich do Galicyi. Zainicyował ją dr. Zdenko Forster, szef sekcyi w ministeryum kolejowem. Dr. Forster, będąc w ubiegłym roku po raz pierwszy w Galicyi, zwiedził dokładnie Kraków, Lwów i Zakopane, przyczem odniósł jak najkorzystniejsze wrażenie, tak iż zaraz po powrocie do Wiednia zachęcił kilka rodzin urzędniczych do zwiedzenia piękniejszych okolic naszego kraju. Inicyatywę dra Forstera podjął kraj. Związek turystyczny i zaaranżował wycieczkę do Galicyi, zapraszając do udziału w niej urzędników kilku ministeryów.

W piątek w nocy przybyło tedy do Krakowa 35 urzędników z Wiednia, a odpocząwszy w tutejszych hotelach, zebrali się rano na plantach w mleczarni p. Dobrzyńskiej a stamtąd po śniadaniu udali się na zwiedzanie pamiątek miasta. Oglądnęli tedy Wawel, Muzeum narodowe, kościół N. P. Maryi itd., a następnie udali się na przekąskę do handlu Hawełki.

Z kolei udali się sympatyczni goście pociągiem do Wieliczki, celem zwiedzenia tamtejszych salin. Po powrocie do Krakowa odbył się w sali starego teatru obiad, dany na cześć gości przez miasto Kraków. Z obiadu wprost podążyli goście wiedeńscy na dworzec, aby osobnym pociągiem odjechać do Zakopanego.

W Zakopanem zwiedzono Morskie Oko, które wywołało zachwyt szczery i prawdziwy wśród przybyłych.

Następnego dnia udali się goście w dalszą drogę, do Pienin i Szczawnicy. Z Nowego Targu ruszyli turyści powozami do Czorsztyna, gdzie w zamku podejmował ich właściciel St. hr. Drohojowski. Potem odjechała wycieczka do Czerwonego Klasztoru a stamtąd łódkami Dunajcem przez Pieniny do Szczawnicy. Przecudna droga, pełna uroku jazda łódkami, podobała się niezmiernie urzędnikom wiedeńskim, którzy wyrażali się z najwyższemi pochwałami o pięknościach przyrody tej okolicy naszego kraju. Ze Szczawnicy udano się do Starego Sącza, oraz do Jazowska, poczem wieczór nastąpił odjazd przez Kraków do Wiednia.



Dygnitarze wiedeńscy w Krakowie: Grupa uczestników wycieczki z Wiednia do Galicyi; 1. Prezes kraj. Związku turystycznego; JE. A. hr. Wodzicki; szefowie sekcyi w ministerstwie kolei, radcy dworu 2. dr. Zdenko Forster; 3. dr. Gruber; 4. br. Banhans; 5. dyr. Horoszkiewicz; 6. radca dworu Szlachtowski; 7. radca dworu I. Rosner; 8. radca ministeryalny dr. Spiess; 9. dyr. policyi dr. Flattau; 10. radca minist. hr. Romer; 11. radca dworu dr. Bardas; radcy sekcyjni: 12. dr. Geutenbrück; 13. dr. Hirth; 14. dr. Ziffer; st. radcy: 15. Arnold; 16. Rochaczek; 17. br. Reymond; 18. dr. Pesta; 19. dr. Ruffi; 20. dr. Pichler; 21. st. inż. Szlachtowski; 22. radca sekc. dr. Lindheim; 23. dr. Janiczek; 24. prezes Izby hand. i przem. Dattner; 25. właściciel Czorsztyna St. hr. Drohojowski; (X) sekr. Związku turyst. p. Rosner. Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

30 Ciąg dalszy

Wiadomość zrobiła wrażenie, zaczęto przypominać sobie jego podejrzane rozmowy, spojrzenia, aż wreszcie zwrotniczy musiał przypomnieć, że czas na głosowanie.

W tym czasie zeszło się tylu towarzyszy, że dwa pokoje nie mogły ich pomieścić, przeniesiono się tedy na podwórze i po krótkiej naradzie wybrano znaczną większością głosów zwrotniczego i konduktora na wyborców delegata.

W tej chwili dano znać o nadciągającym patrolu wojskowym.

— Towarzyszko — zawołał zwrotniczy — idźcie na pierwsze piętro!

Wahającą się pochwycił za rękę inny towarzysz i pociągnął za sobą.

Zaledwie Wanda zdążyła na pierwsze piętro, gdy ze wszystkich stron otoczono zebranych kolejarzy i w chwili, gdy wachmistrz szeregował wiecujących, przyjechał konno oficer żandarmeryi i rozkazał ścieśnić kordon, pytając nadbiegającego wachmistrza:

— Ilu ich jest?

— Około ośmdziesięciu.

— Nazwiska spisać, dokumenta zabrać, aresztować co siódmego, — skinął na czterech żandarmów, — a wy do rewizyi, kto nie z tego domu, mężczyzna czy kobieta, prowadzić do mnie, nie zabawiać się szukaniem pism, tylko ludzi.

Do oficera, spacerującego w sieni z papierosem, przyprowadzono ośmiu z parterowego mieszkania, a gdy się okazało, że to kolejarze, oficer kazał ich poprowadzić do wachmistrza na podwórze.

Żandarmi przeszli do drugiego mieszkania, drzwi były zamknięte, a zawołany stróż oświadczył, że lokatorowie wyszli o pierwszej godzinie i mówili, że wrócą wieczorem.

— Wysadzić drzwi — rozkazał oficer.

Wyważone drzwi pękły, w mieszkaniu były pustki, więc żandarmi przeszli na pierwsze piętro do mieszkania, w którem była Wanda.

Mieszkanie to zajmował malarz pokojowy z rodziną. Samego gospodarza nie było w domu, była tylko żona i dwoje małych dzieci.

Na razie proponowano Wandzie, aby się przebrała za służącą, okazało się to jednak niemożliwem, gdyż jedyna służąca na piętrze, będąca na służbie u sąsiadów, wyszła a rzeczy swoje zamknęła w kufrze.

— A może pani położy się do łóżka, jako moja chora krewna... to będzie najlepiej — mówiła malarzowa, ładna kobieta ze zmęczoną twarzą.

— Zapytają o paszport... wezmą stróża i wyda się kłamstwo. Zostanę w ubraniu, a przyszłam w odwiedziny. Ma pani krewnych w Warszawie?

— Na Dynasach pod siódmym mam bratową— wdowa, jest pończoszniczką, ma własną maszynę...

— Dobrze, a jej nazwisko?

Dowiedziawszy się, Wanda starała się rozmawiać spokojnie, ale obie były tak zaniepokojone oczekiwaną rewizyą, że więcej nasłuchiwały, aniżeli mówiły.

Weszli żandarmi, a dowiedziawszy się, że malarzowa jest stałą lokatorką, co poświadczył stróż, pytali Wandę o paszport.

Była zupełnie spokojną i swobodnie oddała paszport, a gdy dowiedział się, że jest w odwiedzinach, zaśmiał się drwiąco i rzekł do swojego kolegi:

— Zaprowadź ją na dół — a sam zaglądał w szafy, w łóżka, we wszystkie zakątki.

Wanda stanęła przed oficerem, który skłonił się grzecznie i wziąwszy paszport do ręki, przeczytał i spytał:

— Co pani tu robi?

— Przyszłam w odwiedziny...

— Tak... — i zwracając się do żandarma — w jakiem mieszkaniu była ta pani? Idź i dowiedz się, albo nie, sprowadź tu wszystkich z tego mieszkania.

Po chwili zjawiła się wystraszona, pobladła malarzowa z dwojgiem dzieci małych, dwóch chłopczyków, jeden trzyletni, a drugi dwuletni.

— Kiedy ta pani — wskazał oficer na Wandę — była u was? Mów pani prawdę, bo będzie źle!

— Przyszła niedawno.

— Zna ją pani?

— Przysłała ją moja bratowa, bo nie byłam u niej od tygodnia, i była niespokojna o mnie.

— Nie pytam o to — zawołał surowo — czy znacie tę panią?

— Znam.

— Wszystko, co powiedzieliście, jest kłamstwem — i do żadarmów — weźcie ją, niech się ubierze, dzieci w mieszkaniu zostawić, a ją pod konwój.

— Ależ panie, jam niewinna, co zrobiłam? Ulituj się pan, mam drobne dzieci — rozpłakała się.

— To niesprawiedliwe i niesumienne — zawołała Wanda oburzona — weszłam do niej, a że pozwoliła mi odpocząć, nie jest zbrodnią.

— Zawiniła, bo chciała władzę w błąd wprowadzić — rzekł oficer chłodno — bierzcie ją.

Żandarmi pochwycili ją z boku, wyrwała się im i z gniewem zawołała:

— Sama pójdę — wzięła młodsze rozpłakane dziecko na rękę a starszego puściła przodem i poszła.

— Cóż pani tu robiła? — uśmiechnął się — czy będzie pani utrzymywała, że była pani z wizytą?

— Nie o mnie chodzi — odpowiedziała Wanda — ale o tę niewinną. Zostaw ją pan, bardzo proszę, cóż zrobią dzieci malutkie i w jakiej męce będzie ona!

— Żąda pani niemożliwości... Zawiniła i musi być ukaraną.

— Zlituj się pan, przecież i pan miałeś matkę...

— Miałem i żal mi tej kobiety, ale prawo jest prawem — a widząc żandarmów, przyprowadzających z piętra kilku mężczyzn, zwrócił się do stojącego w bramie żandarma: — Oddaj tę panią pod straż żołnierzom — i przechodzącą Wandę pożegnał wojskowym ukłonem.

Sprowadzeni z piętra byli kolejarzami, więc oficer odesłał ich do wachmistrza na podwórze.

Wszystkich kolejarzy ustawiono w szeregu i po spisaniu nazwisk, odebraniu dokumentów, wachmistrz co siódmego oddawał pod straż. Fatalna siódemka ominęła obu wyborców. Z grona kolejarzy aresztowano dziesięciu, prócz nich sześciu nie należących do służby kolejowej i dwie kobiety: Wandę i malarzową.

Wszystkich aresztowanych otoczyła piechota i ruszono w pochód do więzienia ratuszowego.

Kolejarze, wypuszczeni na wolność, którzy znali Wandę, spoglądali z wielkim żalem na nią i ogarnął ich pewien wstyd, że dopuścili do jej aresztowania.

Złorzeczyli żandarmom, policyi, wojsku, zaciskali pięście, ale o odbiciu nie można było i zamarzyć. Uczucia jednak żalu, gniewu, oburzenia musiały znaleść ujście, a gdy zwrotniczy szepnął: — to sprawka Łazonia i Szala — zabłysły oczy złowrogo i poszedł głuchy pomruk zemsty.

Zwrotniczy tak wierzył w potęgę swej partyi, że nie wątpił o oswobodzeniu Wandy, czuł jednak gorzkie wyrzuty sumienia, że on, człowiek starszy, doświadczony, nie zmusił wiecowników do obioru innego miejsca i że Wandy nie odesłał do domu, gdy powziął podejrzenie. Po głębszem zastanowieniu osądził, że przedewszystkiem trzeba dać znać o aresztowaniu Wandy w jej mieszkaniu.

Wprawdzie nigdy nie był u niej, ale przy sposobności powiedziała mu raz, gdzie mieszka.

Na schodach, wiodących do mieszkania Wandy, spotkał się z Porwą, wyprzedził go i ostro zadzwonił. Otworzyła mu Logika.

— Czy tu mieszka panna Balkowska?

— Tutaj, ale niema jej w domu.

Porwa spojrzał na zwrotniczego, a dojrzawszy jego nerwowy niepokój, rzekł:

— Wejdźcie towarzyszu do pokoju, tu może ktoś posłyszeć — a gdy drzwi wejściowe się zamknęły, spytał szybko: — czy została aresztowana?

Zwrotniczy spojrzał zdumiony i rzekł po chwili:

— A pan skąd wie?

— Domyśliłem się towarzyszu — i wprowadzając go do pokoju, prosił — opowiedzcie krótko, a dokładnie.

— Wasza panienka, którą nazwaliśmy Błyskawicą, bo wszędzie była i robota paliła się w jej ręku, przyszła do mnie. Wyszła przodem i widzę, że Szal podchodzi do niej...

— To szpieg, ona was musiała ostrzedz przed nim — rzekł Porwa surowo — należało miejsce zmienić lub odwołać wiec.

— Święta prawda, zawiniłem, cóż gdy naród był nieusłuchany, ostrzegałem — westchnął — i zabrali Błyskawicę, malarzową, dziesięciu naszych i sześciu przygodnych poprowadzili do ratusza.

— Wyborcy obrani? — spytał Porwa.

— Wybrano dwóch, mnie i konduktora — wymienił nazwisko.

— To dobrze towarzyszu, dostaniecie wskazówkę, kogo wybrać na delegata, za wiadomość dziękuję, bywajcie zdrowi, bo czas nagli.

Logika przez cały czas milczała, czuła bowiem, że przy pierwszem odezwaniu się wybuchnie płaczem.

Gdy drzwi zamknęły się za zwrotniczym, stanął przed nią Porwa.

— Słuchajcie, nie czas jej żałować, znajdzie się sposób ulżenia jej, liczę na wpływ Koli... Rewizya dziś pewna, co macie niebezpiecznego w ogień... a wy gotujcie się do drogi, pomogę wam.

— Nie wyjadę — westchnęła.

— Czy sądzicie, że wasze aresztowanie pomoże Wandzie? Teraz najgorętsza chwila, na więzienie będzie czas. A nie chcecie wyjechać, przeprowadźcie się chwilowo, zamieszkacie u mnie.

Logika wstała z krzesła i rzekła prawie spokojnym głosem:

— Macie słuszność, muszę zejść im z oczu... przeprowadzę się do was.

— Teraz niszczcie papiery... idę do stróża, aby was wymeldował.

I stróż i rządca w obawie, że za lokatorki, zajmujące się agitacyą, będą odpowiedzialni przed policyą za niedoniesienie o występnej działalności, zgodzili się chętnie na wcześniejsze wymeldowanie Logiki.

Załatwiwszy tą sprawę, Porwa poszedł na górę.

Do wszystkich zamków powkładał klucze, pomagał palić papiery, pakować do kuferka niezbędne rzeczy, służącą odesłał do domu jej rodziców, klucz od zatrzasku wręczył stróżowi i zawiózł Logikę do siebie.

Po gorączkowem zajęciu i pośpiechu nastąpiło u Logiki wyczerpanie, a nowa fala żalu nad Wandą nadpłynęła z taką siłą, że Logika pobladła i mimowolnie popłynęły łzy z oczu, znacząc czerwienią swe ślady. Osłabiona, oparła się o ramię Porwy, a on patrząc na nią z wielkiem współczuciem zamarzył o chwili, gdy tę ukochaną i jedyną będzie mógł utulić i pocieszyć w jej żalu.

Wkrótce jednak otrząsł się z tych myśli i wrócił do rzeczywistości.

Zaprowadziwszy ją do swego mieszkania, rzekł:

— Rozporządzajcie się, jak u siebie... paszport na nazwisko mej siostry będzie dziś wieczorem... teraz idę do Bala i Koli.

— Uprzedźcie też Figurę, aby nie zachodził do nas.

— Dam mu znać i innym także. Teraz jest siódma, za dwie godziny wrócę pewno z Balem.

Mimo usilnych poszukiwań nie mógł odszukać Koli w zwykłych miejscach spotkania, zdecydował się wreszcie pojechać do jego mieszkania. Zastał go w domu, a Kola widząc go wchodzącego, pobladł i rzekł głuchym głosem:

— Aresztowana....

— Tak jest... W ratuszu siedzi, przyszedłem do was, bo macie najkrótszą drogę, aby mogła otrzymać osobną celę, pościel własną i żywność z miasta.

— Postaram się, ale i z waszej strony nie zaniedbujcie....

— Zajął się tem Bal.

— Teraz siadajcie i opowiedzcie mi szczegóły, nie dla mej ciekawości, ale może mi będą potrzebne.

Porwa opowiadał zwięźle przebieg aresztowania, a Kola pytał dalej:

— Zabrano ją jako agitatorkę, sprawa będzie trudna, ale spróbuję.... Logika wie?

— Do nioj przyszła wiadomość, przeprowadziła się do mnie, jako do brata.

— Bardzo słusznie, a innych ostrzegliście, aby nie przychodzili?

— Już zrobione.... bywajcie zdrowi, a będziecie mieli co nowego, przyjdźcie do mnie, dziś będzie Bal u mnie.

— Prawdopodobnie przyjdę.

Po jego wyjściu Kola poszedł do buduaru matki, która czując się niezdrową położyła się wcześniej do łóżka. Ucałował jej rękę tak gorąco, że zdziwiona spojrzała na twarz jego.

— Co tobie Kola? Pobladłeś, czy nie jesteś chory?

— Nie mamo.... Gdzie ojciec?

— Jest na przyjęciu, w Zamku, ale mówił, że wróci wcześnie.... Na co ci ojciec?

— Chciałem go prosić o pewną łaskę — mówił miękkim głosem — ale wolę użyć twego pośrednictwa.

— Ty? Ojca? O łaskę?... Co to znaczy Kola? mów, proszę cię.

Usiadł na fotelu przy łóżku i po chwili zaczął:

— Siostra mego przyjaciela Balkowskiego, młoda dziewczyna, entuzyastka, przejęła się ideą socyalistyczną i dziś została aresztowana.

— Więc to o nią chodzi — odetchnęła z ulgą — sądziłam, że ciebie samego spotkała jakaś przykrość.

— Wolałbym mamo siedzieć w podziemiach Petropawłowska, aniżeli być wolnym, a ona uwięziona.

— Tak dalece? — patrzała wielkiemi oczyma — dawno ją znasz?

— Kilka tygodni, ale nie w tem rzecz — moja mamo. Ona ma dziewiętnasty rok, młoda, niewinna i siedzi w ratuszu z najgorszemi szumowinami miasta; czy mama wyobraża ją sobie w celi wspólnej, brudnej, zatęchłej, pełnej robactwa i gdyby ona była córką mamy, czy zniosłaby mama tę olbrzymią krzywdę dziecka?

— Dobrze Kola.... mówmy spokojnie i szczerze.... czy ty ją kochasz?

Zaczerwienił się, spuścił oczy i po dobrej chwili:

— Może.... nie wiem....

— A ona ciebie?

— Daję mamie słowo, że nigdy nie mówiliśmy o miłości, nawet oczyma. Nie śmiałbym mącić jej czystych myśli mojem wyznaniem.

— Więc kochasz ją platonicznie, to dobrze, taka miłość przechodzi jak ząbkowanie u dzieka — uśmiechnęła się — czegóż ty chcesz?

— Jej uwolnienia.

— Czy wiesz, gdzie ją aresztowano? i co jej zarzucają?

— Była na wiecu kolejarzy, przy szosie Marymonckiej, żandarmi otoczyli dom i tam ją aresztowano, przypuszczalnie jako agitatorkę.

— Dobrze Kola, będę ojca prosiła, ale za skutek nie ręczę..... ty znasz jego surowość i sprawiedliwość.

— To zależy od tonu twego mamo, niech ci się zdaje, że to ja jestem aresztowany, że o mnie idzie.

— Przyrzekam ci Kola, że będę prosiła bardzo gorąco, ale.... nie wiem...

— Mamo, gdyby ojciec.... nie zgodził się na natychmiastowe jej uwolnienie, zrób przynajmniej tyle, aby ona miała osobną celę, pościel własną i jedzenie z miasta, bo możliwe jest, że ojciec będzie się zasłaniał, iż trzeba wpierw przeprowadzić śledztwo, zanim ją uwolni.

— Rozumiem Kola.... postaram się.

— Jeszcze jedno mamo, niech ojciec wpłynie, aby ją przesłuchano jak najwcześniej, chociażby jutro.

— Dobrze Kola.... napisz mi na karteczce jej imię i nazwisko.

Siadł przy biurku, napisał i wręczając, rzekł:

— Moja droga mamo — całował jej rękę — będę mamie wdzięczny całe życie i jeśli to możliwe, będę mamę jeszcze bardziej kochał aniżeli teraz.

— Kola! Kola! — westchnęła — moje dziecko, przygotuj się jednak na odmowę ojca, ja zrobię wszystko, ale gdyby on nie usłuchał mej prośby, ty nie miej żalu do ojca, znasz go przecież, to najzacniejszy człowiek, ale od pewnych zasad swoich nie odstąpi.

Słuchał chmurny, wstał, przeszedł się po buduarze i stanąwszy przed matką rzekł:

— Mamo, jeśli ją spotka tam jaka krzywda, rozumie mama, gdyby... to zanim w łeb sobie palnę, zabiję winowajcę, chociażby nim był własny...

— Kola milcz! — zawołała zaczerwieniona z oburzenia, — cicho... idź... uspokój się, mówisz jak szalony!

— Bo jeśli nie jestem, to nim będę mamo, — ukląkł przy łóżku i ukrywszy twarz w poduszkę, całował rękę matki. Ona drugą ręką głaskała włosy jego i rozczulona szeptała:

— Cicho Kola! cicho, uspokój się, to wszystko skończy się dobrze, będę tak długo prosiła ojca, aż ulegnie. Tylko nie szalej, nie zamęczaj się... możebyś poszedł gdzieś do przyjaciół, samotność jest zła w takich chwilach.

— Jaka ty dobra mamo, — wstał, — pójdę się przejść... a kiedy pogadasz z ojcem?

— To zależy... sądzę, że najlepiej przy rannem śniadaniu... tylko ty Kola nie popsuj mi sprawy twem wdaniem się... czekaj cierpliwie.

— Dobrze mamo.

— Słuchaj Kolą, czy ona ładna?

— Bardzo... szatynka, smukła...

— Ładniejsza od Wiery Pawłówny?

— O wiele... Wiera przy niej wygląda na ładną pokojóweczkę.

— A wiesz Kola, ja myślałam, że ty kochasz Wierę, ona taka milutka, taka nasza, taka jak cukierek słodziutka.

— I właśnie dlatego jej nie kocham, bo nie jest miła, tylko milutką, nie jest słodka, tylko słodziutka.



...pomagał palić papiery.

— Ach, jacy wy wszyscy mężczyźni niewdzięczni... ona tak lgnie do ciebie.

— A niech tam, nie lubię mamo powojów, lubię równych sobie, pokrewnych... ale po co ta rozmowa?... Mamo, niech tylko ona wolną będzie.

— Zrobię wszystko... czy ci dosyć?

— Dziękuję mamie, i zaraz przyjdzie mama do mnie?

— Przyjdę... a teraz idź, przejdź się, a nie wracaj zbyt późno.

Matka Koli źle spała tej nocy, miała sny przykre, a gdy się z nich budziła, wyobraźnia malowała jej rozpacz Koli, jego oburzenie na ojca, zerwanie z nim... i jakkolwiek słyszała powrót męża, który cicho zbliżył się do jej łóżka, udała śpiącą, byle nie teraz, nie zaraz rozstrzygać tę sprawę.

Rano zbudziła się, wstała i wysłała służącego po przysmaki lubiane przez męża i ubrawszy się staranniej niż zwykle, oczekiwała go w jadalnym pokoju.

Nareszcie przyszedł i żona wbrew swemu zwyczajowi zaczęła pytać o wczorajsze przyjęcie, interesowała się żywo sprawami wojskowemi, możliwych awansów i zmian, podsuwając mężowi najlepsze przekąski, nalewając sama herbatę w ulubioną jego filiżankę, że to zwróciło jego uwagę i rzekł z uśmiechem przyjaznym:

— Czuję, że czegoś będziesz żądała, bo nadto mi dogadzasz. Czy zgadłem?

— Nie sądziłam, że jesteś taki podejrzliwy, jestem taką jak zwykle, bo wiesz, jak cię kocham i jak pragnę, aby ci w domu dobrze było.

— Tak, to prawda... a co z Kolą?

— Daj mu spokój, on taki biedny, taki zmartwiony.

— Co się stało? — spytał żywo, — czy chory? czy zrobił co złego?

— Widzisz, jaki ty podejrzliwy, pierwsza twoja myśl, czy zrobił co złego? On, taki dobry, taki szlachetny, taki podobny w charakterze do ciebie.

— No, no, podobny, — uśmiechnął się ironicznie, — w jego wieku byłem już porucznikiem gwardyi, a on?

— Nie idzie o stanowisko, ale o człowieka, a może zapalisz tego papierosa? — podsunęła mu pudełko.

— Jaka ty dobra, pamiętałaś o mnie, właśnie te lubię, — ucałował jej rękę, — no cóż Koli?

— Mówiłam ci, że żyje w przyjaźni z Balkowskim... pamiętasz był u nich z wizytą i na polowaniu... otóż ten Balkowski ma siostrę, młodziutką dziewczynę, sierota ona bez ojca, bez matki, no i weszła na złą drogę, bo sam powiedz, kto miał czuwać nad sierotą?

— No tak... zatem zbłądziła upadła... to bywa... czy Kola wmieszany?

— Wstydź się, tobie zawsze w głowie kawalerskie wybryki...

— Cóż chcesz, moja droga, — uśmiechnął się — jeśli jak mówisz weszła na złą drogę, to cóż innego?

— Właśnie co innego, wpadła w złe towarzystwo, przewrócono jej w głowie i wciągnięto... w jakieś tam nieporządki.

Twarz jego dotychczas rozpogodzona sposępniała, uśmiech znikł i spytał:

— Czy należy do przestępców politycznych?

— Nie wiem... może... sam osądzisz, tylko się nie gniewaj, wysłuchaj mnie.

— Opowiedz, byle krótko.

— No, rozpogódź się, pamiętaj, że tu idzie o honor Czerniejewów.... Otóż zbałamucili ją niegodnie i posłali między robotników. Była pierwszy raz, żandarmi otoczyli i wzięto ją do ratusza, taką młodą, niewinną, Bóg wie, co się z nią tam stanie.

— Gdzie i kiedy ją schwytano?

— Wczoraj, przy szosie Marymonckiej.

— Jej nazwisko? — spytał wstając, a gdy mu podała kartkę, rzekł: — pismo Koli... zatelefonuję, zaczekaj.

Wrócił chmurny i siadając ciężko przy stole, spojrzał surowemi oczyma na żonę i po chwili:

— Prowadziła agitacyę między kolejarzami... przestępstwo wielkie, musi być ukarana... i dość o tem.

— Tak możesz przemawiać do podwładnych, ale nie do mnie, do twojej żony... i musisz mnie wysłuchać.

— Dobrze... mów, — powiedział obojętnie.

— Przedewszystkiem to dziecko, małoletnia, a takich się nie karze, ale upomina się po ojcowsku i uwalnia. Ty sam wiesz o tem najlepiej... i dlaczego mnie tak męczysz? — zapłakała cicho.

— Maryo Pawłówno nie płacz, szkoda oczu... że też ten Kola nie miał litości, aby cię prosić o takie rzeczy.

— To ty nie masz litości, — szlochała cicho, — on szlachetny.. on rozumie, że tam gdzie był przyjęty, jadł chleb u nich, bawił się, polował... tych nie opuszcza się w nieszczęściu. A ty? jakiś ty ojciec? jaki mąż? — a łzy płynęły jej obficie, gdyż teraz naprawdę rozczulała się nad sobą i Kolą, — ty chcesz go zrobić niewdzięcznikiem, podłym człowiekiem?

— Ja? Ależ uspokój się... zrozum, że prawo jest prawem; zawiniła, musi odcierpieć karę — to trudno. Zapewne sąd uwzględni jej młodość, ale ja nic nie mogę... Żądaj czego innego, wszystko zrobię.

— Ach ja nieszczęśliwa, — rozpaczała — taki okrutnik, nawet nie użali się dziecka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uroczystość wojskowa.

Celem uczczenia rocznicy pamiętnego zwycięstwa armii austryackiej pod Custozzą w r. 1866, odbyła się w ubiegłym tygodniu w Przemyślu wielka uroczystość staraniem przemyskiego pułku artyleryi korpuśnej, który w bitwie tej szczególną okrył się chwałą.

Obchód tego zwycięstwa rozpoczął się uroczystą mszą św. polową w obecności całego pułku, poczem w koszarach zastawiono obiad dla wszystkich żołnierzy i oficerów. Następnego dnia popołudniu odbyło się bardzo urozmaicone przedstawienie, urządzone wyłącznie siłami żołnierzy.

Ogromne podwórze w koszarach zastawiono namiotami, budami, estradami itd. Wokoło przeznaczono miejsca dla publiczności, która bardzo licznie się stawiła, aby przypatrzeć się niezwykłej zabawie. Z powodu znacznej odległości koszar od miasta, przewożono widzów na miejsce zabawy umyślnie w tym celu urządzoną kolejką polową. Przeszło 5.000 osób wybrało się na widowisko, a wśród nich żona komenderującego korpusu, mnóstwo jeneralicyi, wyższych oficerów, sporo dygnitarzy cywilnych, wszyscy prawie z rodzinami.

Na program przedstawienia złożyły się popisy żołnierzy, poubieranych w stroje cygańskie, indyańskie, krakowskie itd., wyścigi konne i na rowerach, pantomina w rodzaju „Buffalo Bill“, a więc napad Indyan na karawanę, walka Burów z Anglikami i inne w tym rodzaju historye, wreszcie produkcye chóru podoficerów. W przerwach występowali klowni, bawiąc publiczność komicznemi scenami.

Na zakończenie zabawy oświetlono cały plac ogniami sztucznymi i przy ich blasku urządzono „kopię“ bitwy pod Custozzą. Był to widok wysoce interesujący, żołnierze bowiem wystąpili w mundurach historycznych, zarówno austryackich jak włoskich. Wrażenie potęgował straszny i ogłuszający huk armat.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg zdjęć z tej wojskowej uroczystości.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Uroczystość wojskowa: Grupa uczestników uroczystości wojskowej w Przemyślu, jadąca specyalną kolejką polową na miejsce zabawy.

Wiejskie towarzystwa amatorskie.

Wiadomo jak ważnym czynnikiem kulturalnym jest w ogólności teatr, a szczególniej po wsiach, których mieszkańcy pozbawieni są wszelkich rozrywek umysłowych. Wiejskie towarzystwa amatorskie odciągają lud od szynku, dając mu miłe, artystyczne zajęcie, i podnoszą go etycznie. Ze sceny dopiero dowiaduje się wieśniak nasz o wielu rzeczach, których nauczyć nie mogła go szkoła ludowa, nawet jeśli ją ukończył. Przedewszystkiem szerzenie pięknych uczuć patryotycznych polskich, jest zadaniem scen amatorskich po wsiach, co łatwo osiągną za pomocą doboru sztuk odpowiednich. Wielką tedy oddają społeczeństwu przysługę ci, co starają się o zakładanie scen takich. Jednym z wybitnych działaczy w tym kierunku jest okręgowy lekarz w Buczkowicach, wsi powiatu bialskiego na pograniczu Śląska, dr. Franciszek Miodoński, który tam osiadł dziesięć lat temu.

Zanim pomyślał o stworzeniu amatorskiej trupy w Buczkowicach, zabrał się do podniesienia i umoralnienia ludu pod każdym względem. Założył Czytelnię polską, Straż ogniową, Kółko rolnicze itd.; ufundował kaplicę swoim kosztem i przyczynił się wielce do wyplenienia pijaństwa, które ongi stanowiło prawdziwą plagę gminy Buczkowice. W nagrodę tych zasług wybrała go wymieniona gmina jednogłośnie swym naczelnikiem.

Wreszcie pomyślał niestrudzony dr. Miodoński o utworzeniu na miejscu trupy amatorskiej, złożonej z robotników i robotnic fabrycznych (w Buczkowicach istnieje wielka fabryka mebli giętych) oraz z dziewcząt i parobczaków wiejskich.

Umieszczone w dzisiejszym numerze zdjęcie przedstawia właśnie grupę tych sympatycznych amatorów w malowniczych kostyumach z zasłużonym drem Miodońskim pośrodku.

Jego przykład powinienby jak najwięcej zyskać naśladowców.

Z konserwatoryum krakowskiego.

Nadszedł koniec roku szkolnego, a zarazem okres najprzeróżniejszych egzaminów i popisów. W rzędzie szkół, które obecnie zamknęły okres żmudnej pracy, znajduje się i konserwatoryum krakowskie. Poważna ta instytucya muzyczna urządziła również na zakończenie roku szkolnego publiczny popis swoich uczniów.

Rozpoczął popis klasy śpiewu solowego, zostającej pod kierownictwem młodego jeszcze wiekiem, ale wytrawnego pedagoga p. Horbowskiego. Rezultaty całorocznej pracy p. Horbowskiego okazały się bardzo znacznymi. W układzie programu nie było widać dążenia do osiągnięcia sztucznego efektu, ale do wykazania, że system, na którym nauka jest opartą, prowadzi przedewszystkiem do należytego ustawienia głosu, do oczyszczenia go z wszelkich manier i niewłaściwych nawyczek, a następnie do nadania mu miękkości i giętkości oraz umiejętnego używania oddechu.

Zadanie to przyszło p. Horbowskiemu tem łatwiej wypełnić, iż wśród zastępów swoich uczniów znalazł bardzo wiele podatnego i obiecującego materyału. Zwłaszcza wśród pań, których liczba była znacznie większa od mężczyzn, bardzo wiele było obdarzonych pięknym głosem i wybitną muzykalnością.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Uroczystość wojskowa w Przemyślu: Żołnierze poprzebierani za klownów.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Uroczystość wojskowa w Przemyślu: Żołnierze poprzebierani za Indyan.

To też popis klasy prof. Horbowskiego był prawdziwym koncertem, a licznie zebrana publiczność hucznemi brawami wyrażała całkiem szczerze swe zadowolenie i uznanie dla wyników pracy doskonałego profesora.

Grupę uczenic i uczniów prof. Horbowskiego, otaczających swego nauczyciela, podajemy w dzisiejszym numerze.

W krótkości sprawa przedstawia się w sposób następujący.

Dnia 29 stycznia b. r. wspomniany Ułanowski, który, jak się pokazało później, był synem rewirowego i używał biletów z napisem: „Celestyn Sulima-Ułanowski“ a ostatnio nie miał określonego zajęcia, przyszedł do Banku handlowego i zażądał od dyr. Sawickiego tysiąca rubli na cele rzekomo partyjne. Dyr. Sawicki, oburzony tem żądaniem, stanowczo odmówił. Zauważyć jednak należy, iż rozmowę z Ułanowskim, nie opuszczali go na chwilę a o godzinie $5^1/_2$ wprowadzili do jednej ze sal biurowych. Po oddaleniu się urzędników bankowych, „opiekunowie“ Ułanowskiego pertraktowali z Niemirowskim, aby im dał worek i powróz, a to w celu, aby gdzieś w piwnicy „sprawić lanie“ Ułanowskiemu za jego bandyckie postępowanie. Dopiero jednak około godz. 8-ej usłyszano na I-em piętrze gmachu bankowego wystrzał, poczem „opiekunowie“ Ułanowskiego najspokojniej wyszli na



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Uroczystość wojskowa: Grupa widzów, zebranych na uroczystości wojskowej w Przemyślu w rocznicę zwycięstwa pod Custozzą.

Sprawa o samosąd w Warszawie.

Czytelnicy nasi przypominają sobie niezawodnie sensacyjny wypadek zabicia niejakiego Ułanowskiego w gmachu warszawskiego Banku handlowego, o czem zdawaliśmy sprawę w lutym b. r., ilustrując ją odpowiedniemi rycinami. Otóż teraz przyszło na tem tle do procesu, wytoczonego przez prokuratoryę w Warszawie przeciw: Józefowi Niemirowskiemu, który był zarządcą gmachu wspomnianego Banku w chwili krytycznej, Bronisławowi Malinowskiemu i Józefowi Werpachowskiemu, najętym specyalnie dla ochrony tegoż Banku, oraz Janowi Nowakowskiemu, który tam pełnił funkcye palacza.

poprzednio kilka razy temu bandycie, czy agentowi prowokacyjnemu, wręczał po 25 rubli, pragnąc się go pozbyć — czemu, wobec anarchii panującej teraz w Warszawie, wcale nie można się dziwić.

Ułanowski jednak nie wziął sobie do serca odmownej odpowiedzi i zasiadł w poczekalni, oświadczywszy, iż nie ruszy się stamtąd, dopóki nie otrzyma pieniędzy.

Po niejakim czasie, a było to koło godz. 2-iej po południu, w owej poczekalni zjawiło się sześciu młodych ludzi, o wyglądzie robotników i zaczęło rozmowę z Ułanowskim. Później zjawił się — nie wiadomo przez kogo wezwany — fotograf i zrobił zdjęcie Ułanowskiego. Młodzi ludzie, którzy wszczęli ulicę, poprzednio zniósłszy jego trupa do sieni na dole.

Ponieważ, zdaniem prokuratoryi, wymienieni wyżej oskarżeni byli bezpośrednimi świadkami całego zajścia i mogli mu przeszkodzić, przeto zarzuca im ona udział w zabójstwie, specyalnie zaś Niemirowskiemu i Nowakowskiemu zatarcie śladów zbrodni, ponieważ pierwszy nakazał drugiemu zmycie śladów krwi po drodze, którędy wleczono trupa Ułanowskiego, co też ten drugi wykonał.

Śledztwo sądowe nie ustaliło dokładnie charakteru, w jakim występował zabity Ułanowski, ani też kim byli właściwie jego zabójcy. Natomiast wyżej wymienieni funkcyonaryusze Banku zostali pociągnięci do odpowiedzialności za rzekomy współudział w zabójstwie, które nie mogło być oczywiście czem innem jak samosądem jednej z partyj bojowych.

Po wybornej obronie adwokatów: Pepłowskiego, Trejdosiewicza i Ettingera, sąd okręgowy warszawski wydał wyrok uniewinniający wszystkich podsądnych.

Zwycięstwo Bülowa.

Zabawna tragikomedya, którą wywołał Harden, a która miała za skutek porażkę księcia „Phili“ Eulenburga, do niedawna najbliższego przyjaciela Wilhelma II-go, wcale się nie kończy. Kanclerz, ks. Bülow, znajduje się dotąd jeszcze w posiadaniu łask swego monarchy i korzystając z tego wysadził z siodła tych ministrów, którzy, jak wiadomo, kopali pod nim dołki.

I tak, wyjechawszy do Kiel przed niedawnym czasem, ks. Bülow wyrobił sobie tyle u cesarza-podróżnika, który właśnie jedzie do Norwegii, jak



Wiejskie towarzystwa amatorskie: Członkowie teatru amatorskiego ludowego w Buczkowicach ze swym inicyatorem drem Młodońskim na czele.

zwykle co roku w lecie, że usunięci zostali: stary Posadowsky, sekretarz stanu (minister) dla spraw wewnętrznych Rzeszy, oraz pruski minister oświaty, osławiony Studt. W ich miejsce przychodzą: Teobald Bethmann-Hollweg, dotychczasowy pruski minister spraw wewnętrznych, i dr. Ludwig Holle, podsekretarz stanu w ministerstwie pruskiem robót publicznych. Miejsce Hollwega zajął Fryderyk Moltke, starszy prezydent Prus wschodnich, a brat obecnego szefa sztabu generalnego.



Zwycięstwo Bülowa: Dr. Ludwik Holle, minister oświaty w Prusiech.

Niestety dla nas, Polaków, ta zmiana osób w krainie „hakaty“ nie oznacza bynajmniej zmiany systemu. Każdy z nowych ministrów, jeżeli będzie chciał zaskarbić sobie łaski swego monarchy, musi gnębić Polaków na wszelki sposób.

Wykluczonem jednak nie jest, że nowy minister oświaty, Holle, Westfalczyk z pochodzenia, osobistość dotąd zupełnie nieznana pod względem politycznym, nie wstąpi w ślady swego poprzednika, którego rządy zaznaczyły się krwawo w dziejach Polaków, noszących pruskie jarzmo. Dość wspomnieć Wrześnię i ostatni strejk polskiej dziatwy szkolnej w Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich!

Dzienniki niemieckie, z wyjątkiem naprawdę



Zwycięstwo Bülowa: Fr. Moltke, pruski minister spraw wewnętrznych.

postępowych, wylewają łzy żalu z powodu ustąpienia Posadowsky'ego, upatrując w nim jedynego ministra, który pilnie strzegł tradycyj „Żelaznego księcia“. My coś wiemy o tem, bo przecież taka ohydna instytucya, jak komisya kolonizacyjna, miała w nim najgorliwszego poplecznika.

II. Wiceprezydent miasta Lwowa.

Namiętna i zacięta walka, jaką w łonie lwowskiej rady miejskiej stoczono o fotel prezydenta miasta, zdawała się zapowiadać podobnie burzliwy wybór II wiceprezydenta. Stało się jednak inaczej i wybór ten odbył się zgodnie i spokojnie. A stało się tak z dwu przyczyn. Raz dlatego, że centrum rady miejskiej zrezygnowało z postawienia własnego kandydata, a powtóre, że kandydat większości był człowiekiem ze wszechmiar zasłużonym i dawał rękojmię, iż liczyć się będzie ze zdaniem mniejszości. Kandydatem tym, wybranym w pierwszem głosowaniu znaczną większością, był p. Józef Neuman.

P. Józef Neuman, urodzony w 1857 r. w Sa-



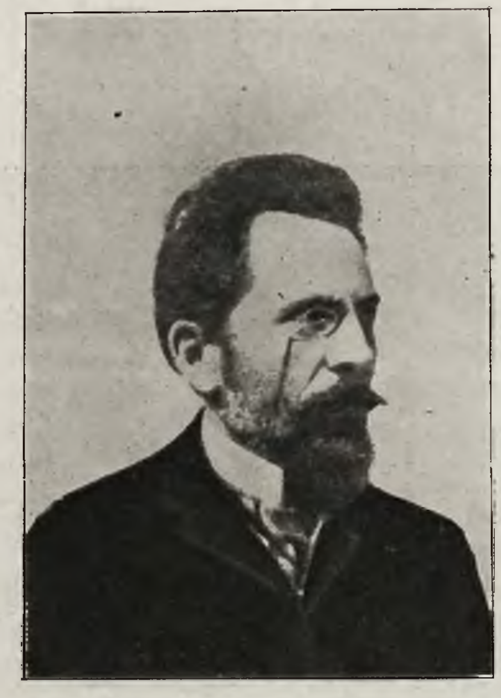
Zwycięstwo Bülowa: Dr. T. Bethmann-Hollweg.

noku, po ukończeniu szkół poświęcił się zawodowi drukarskiemu. Przeniósłszy się do Lwowa, wstąpił przed dwudziestu kilku laty do znanej, starej drukarni ś. p. Kornela Pillera. Dzięki wybitnym zdolnościom i wiedzy fachowej, dzięki dalej niezwykłej gorliwości w wypełnianiu obowiązków, zdobył sobie p. Neuman zaufanie ówczesnych właścicieli drukarni, a spadkobierców ś. p. Kornela Pillera, którzy też oddali mu w całości zarząd ogromnego zakładu. Chylącej się podówczas do upadku dru-



Z konserwatoryum krakowskiego: Profesor śpiewu solowego w konserwatoryum krakowskiem, p. Horbowski, w otoczeniu uczenic i uczniów.

karni przywrócił p. Neuman wkrótce dawną świetność i postawił ją na bardzo wysokim poziomie. Dziś zakład ten, po wprowadzeniu całego szeregu najnowszych urządzeń zarówno w dziedzinie sztuki drukarskiej, jak litografii, należy do pierwszorzędnych tego rodzaju firm w kraju. Ożeniwszy się z córką ś. p. Kornela Pillera, Kazimierą, został właścicielem większej części zakładu.



Sprawa o samosąd w Warszawie: J. Niemirowski, zarządca gmachu Banku Handlowego. (Do artykułu na stronie 8).

W gremium drukarzy lwowskich odegrał wybitną rolę i od szeregu lat jest ich przełożonym. Pracuje również na innych polach życia publicznego. Jest mianowicie prezesem lwowskiego tow. właścicieli realności, prezesem Sokoła IV, wiceprezesem tow. prawnej ochrony podatników, członkiem wielu towarzystw a wszędzie działalność jego cechuje niezmordowana pracowitość, niezłomna energia i prawdziwe poświęcenie się sprawie.

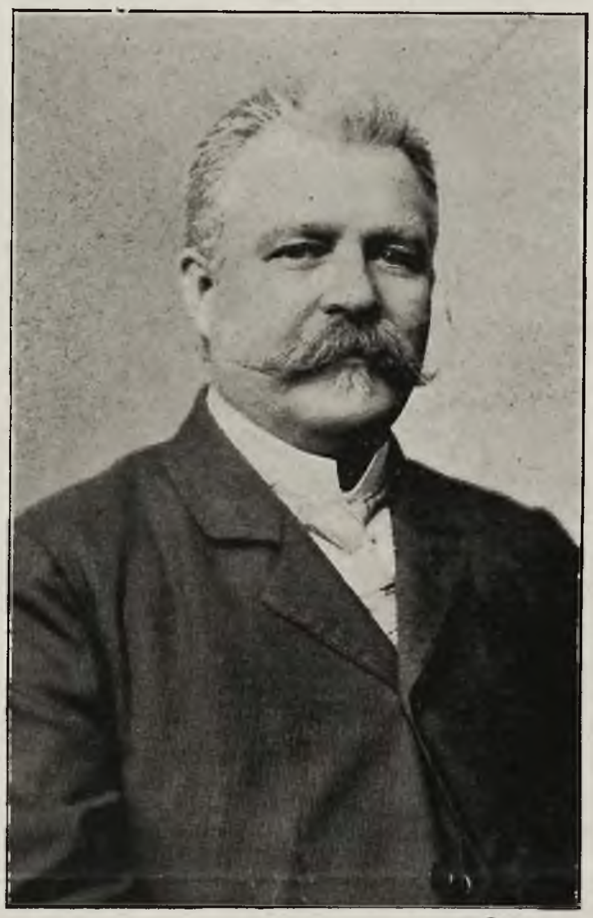
Też same cechy nosi jego wieloletnia działalność na stanowisku członka lwowskiej rady miejskiej. To też wówczas, kiedy przez wybór p. Ciuchcińskiego na prezydenta miasta opróżniło się miejsce II wiceprezydenta, głos ogólny wskazywał p. Neumana jako najgodniejszego jego następcę. Wybór dokonany w ubiegłym tygodniu padł istotnie na niego.

Że wybór ten jest szczęśliwym, dodawać zbyteczne, po przedstawieniu choćby w ogólnych zarysach dotychczasowego życia i działalności nowowybranego wiceprezydenta. Spodziewać się też należy, że p. Neuman nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei i — jak dotychczas — kierować się będzie we wszystkiem względami na dobro miasta, które tak ukochał i do którego tak jest przywiązanym.

W uzupełnieniu zamieszczamy w dzisiejszym numerze portret p. Neumana.

Aresztowania w Warszawie.

Rozwiązanie drugiej Dumy zaznaczyło się i w Warszawie całym szeregiem aresztowań, dokonanych w ciągu ostatnich dni. Osób, na których ciążą pewne podejrzenia o należenie do partyi przewrotowych, nie brak obecnie w Warszawie. Zwłaszcza w okresie różnorodnych obostrzeń. To też od 2 tygodni niemal odbywają się rewizye w mieszkaniach prywatnych, zaczem idą aresztowania. W następstwie tego przeciągają przez miasto oddziały wojska albo policyi, prowadzące więźniów z jednego zamknięcia do drugiego. Konwoje, odprowadzające więźniów, bacznie uważają, aby przechodnie nie porozumiewali się z więźniami, nie dawali im żadnych znaków itd.



II. Wiceprezydent miasta Lwowa: P. Józef Neuman, zasłużony obywatel m. Lwowa, wybrany II. wiceprezydentem.

* * *

Rycinę, przedstawiającą jeden z takich konwojów, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Tragiczny wypadek.

Śmierć zbiera ciągle obfite żniwo, tak było, jest i będzie a jednak trudno jest pogodzić się z tą nieuniknioną koniecznością. Gdy choroba, lub wiek, wpędzają kogoś do zimnego grobu, pozostałym łatwiej zdobyć się na rezygnacyę, gdy jednak nielitościwa ręka śmierci przecina u początku prawie nić młodego życia — wtedy najbliższych ogarnąć musi głęboki, nieutulony żal, tem większy, jeżeli to było napozór dziełem ślepego trafu. Wtedy cały tragizm nieszczęścia daje się głębiej jeszcze odczuwać.



Sprawa o samosąd w Warszawie: W. Sawicki, dyrektor Banku handlowego. (Do artykułu na stronie 8).

Ofiarą takiego nieszczęsnego wypadku padł w tych dniach dwunastoletni ś. p. Wicuś, synek znanego artysty malarza, p. Wincentego Wodzinowskiego, celujący uczeń II kl. podgórskiego gimnazyum, chłopiec rozwinięty nad wiek i rokujący najpiękniejsze nadzieje. P. Wodzinowski posiada, jak wiadomo, dworek z pracownią w Swoszowicach. Tam ze ś. p. Wicusiem bawił się jego kuzyn i rówieśnik, korzystając z wakacyj. Jak zwykle chłopcy, mający moc pomysłów celem urozmaicenia zabawy, wyszukali gdzieś schowany karabinek. Nie wiedząc o tem, że jest nabity, kuzyn ś. p. Wicusia zaczął nim manipulować i mierzyć do krewniaka i przyjaciela. W tem padł strzał... Wijąc się z bólu ś. p. Wicuś upadł na ziemię...

Pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej i przewiezienia go do szpitala Bonifratrów w Krakowie, gdzie prof. dr. Bossowski dokonał operacyi, nieszczęsny chłopczyna zmarł w kilka godzin, mając jelita przeszyte w ośmiu miejscach kulą.

Ten prawdziwie tragiczny wypadek, którego ofiarą padł najstarszy synek państwa Wodzinowskich, tem cięższym był dla nich ciosem, że spadł istotnie, jak grom z jasnego nieba.

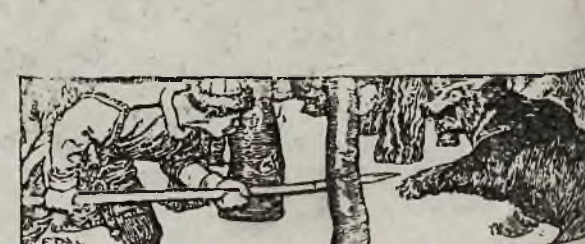
Ogólne współczucie szerokich kół, w których p. Wodzinowski jest znanym i cenionym, niechaj będzie dla niego i jego małżonki drobną chociaż pociechą w tak ciężkiem strapieniu.



Aresztowania w Warszawie: Konwój żołnierzy, prowadzący aresztowanych.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.



Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

13 (Ciąg dalszy).

Oskarżony nie drgnął nawet. Może myślał, że przeciwnicy są silnie uzbrojeni przeciw niemu. Po kilku minutach zastanowienia, odpowiedział spokojnie:

— O zbrodnię z ulicy Clichy? Pozwól pan sobie powiedzieć, panie sędzio, że się mylisz zupełnie!

Było to więc zaprzeczenie formalne, oczekiwane przez p. Noileau, lecz uczynione spokojnie, bez gestów, wykrzykników oburzenia, z lekkim odcieniem zdziwienia. Sędzia pokrył pomieszanie. Z tym widocznie gra będzie trudna. Trzeba działać z rozwagą.

— Naturalnie — odpowiedział — pan nawet nie zna dokładnie tej sprawy?

— Ależ przepraszam pana, jest mi ona znajoma. Tak jak wszyscy swego czasu, zajmowałem się i ja tą sprawą, rozstrząsaną drobiazgowo w kilku miejscowych dziennikach.

— A nie znasz pan tej sprawy z innej strony?

— Z innej strony? Nie.

— Tak, to naturalne. Pozostawmy tę sprawę!... Może pan zechce mi wytłómaczyć, dlaczego zmieniasz pan tak często nazwisko i powierzchowność swoją? Dlaczego usiłował pan uciekać, gdy pana aresztowano?

Gruby Ludwik milczał.

— Zapewne i temu pan zaprzeczysz? — zapytał p. Noileau.

— Nie—proszę pana; po co mam kłamać. Rzeczywiście chciałem wyjechać, bo wiedziałem, że mnie śledzono. Otóż w mojem życiu popełniłem kilka ~~nieostrożności~~, z których nie widzę potrzeby spowiadać się teraz, bo wyglądałoby to na dobrowolne oskarżenie się, ale mogę panu zaręczyć, że te sprawy nie są w żadnej łączności z morderstwem, o którem mi pan mówisz. Uciekałem instynktowo; czynię to zwykle, gdy widzę za sobą policyę. Hm, takich ludzi znajdzie pan sędzia! Ale może pan być pewnym, że byłbym wkrótce powrócił!...

— Nie może się pan wyprzeć, o ile mi się zdaje, swojej znajomości z panną Janiną Bernay?

— Nie, tak jest, znałem ją.

— I to nawet dobrze? Była pańską kochanką!...

Gruby Ludwik stał się w jednej chwili czerwony jak krew. Oczy jego błysnęły złowrogo.

— Zaklinam pana! zechciej się inaczej wyrażać. Mówimy o zmarłej, o nieszczęśliwej kobiecie, którą kochałem do szaleństwa!

— Aha, to słowo pana razi?

— Do tego stopnia, że nie będę panu odpowiadał, póki...

— A więc powiedzmy, że była pańską przyjaciółką. Widzę z tego, że pan właśnie powinien czuć specyalne zainteresowanie do dramatu, odegranego na ul. Clichy, a pan temu zaprzecza, to dziwne! I dziwi mnie również, że pan nie zgłosił się do nas z prośbą lub wyjaśnieniem, ułatwiającem wyszukanie mordercy kobiety, która była panu bliską?

— Cóż ja mogłem powiedzieć? Nie wiedziałem o niczem. Po cóż miałem odkrywać stosunek, łączący mnie z tem biednem stworzeniem, który pewnie byłby mnie rzucił w podejrzenie? Najlepszym tego dowodem jest dzisiejsze moje aresztowanie, oparte jedynie na wykryciu łączącej nas znajomości. Czy to logiczne? A jeżeli ona miała dwudziestu pięciu kochanków, co jest wykluczone, bo to była z gruntu uczciwa dziewczyna, więc wszystkich dwudziestu pięciu sprowadzać będziecie i posądzać o dokonanie tego morderstwa... To śmieszne!

— Jednakże wydaje się to trochę podejrzanem, że kochając ją tak bardzo, nie zapragnął pan zemścić się na prawdziwym mordercy!... Widocznie więc pan tej kobiety nie kochał prawdziwie?...

— Pan o tem nie może wiedzieć — zawołał, unosząc się Gruby Ludwik.

Pan Noileau zauważył, że dotknął bolącej rany. Lecz pozornie nie przywiązywał wagi do wybuchu oskarżonego.

Tenże po chwili oprzytomniał; głosem dość spokojnym, lecz dźwięczącym powstrzymywaną siłą wściekłości, zapytał:

— A teraz, skoro mnie pan ma w rękach, czy więcej się pan dowiedział?

— Musieliśmy pana aresztować, sam pan przyzna...

— Czy ja się uskarżam?

Zapanowało milczenie.

— Ale powróćmy do pierwszego pytania, na które pan nie odpowiedział — podchwycił po chwili p. Noileau.

— O co to chodzi panie sędzio?

— Czem się pan trudni?

— Oh, teraz mogę powiedzieć otwarcie, skoro nie idzie o tę sprawę morderstwa. Byłoby niegrzecznie z mojej strony odmówić panu odpowiedzi. Nazywam się Ludwik Durieult.

I podał wszystkie żądane szczegóły.

— Nie widzę potrzeby ukrywania nadal swego „incognita“.

Podczas badania obecny w kancelaryi protokolant spisywał odpowiedzi oskarżonego.

Pan Noileau teraz zapytał poważnie:

— Czy panu wiadomo, że człowiek posądzony o te zbrodnie od kilku miesięcy jest trzymany pod kluczem?

— Tak, panie sędzio; wiem doskonale o tem dzięki dziennikom, które czują się w obowiązku donieść swoim czytelnikom o wszelkich sensacyjnych wiadomościach, choć ich to wcale nie powinno obchodzić.

— To nie miejsce na podobne uwagi.

— Ja tylko stwierdzam fakta.

— Przyznaję, że niektóre szczegóły, o których dzienniki pisały, mogły pana silnie dotknąć, jako człowieka, kochającego tę Janinę Bernay i teraz rozumiem wściekłość pana.

— Ja jestem wściekły!

— No, nie mówmy o tem — rzekł łagodnie sędzia. — Proszę, powiedz mi pan, czy znasz tego Germonpré'a?

— Germonpré'a? tego, co jest zamknięty?

— Tak i którego oskarżamy o podwójne morderstwo. Pan musiałeś na pewno go znać... pańską kochankę łączyły z nim stosunki...

— Nigdy Janina Bernay nie należała do tego człowieka, nigdy, nigdy! — zawołał Gruby Ludwik gorączkowo.

— Jednakże — nalegał sędzia uszczęśliwiony, że udało mu się wyrwać ten szczery okrzyk zazdrości — badanie wykazuje jasno, że ofiara spędziła z nim część nocy.

Twarz Durieulta zmieniła się nagle; zbladł okropnie, z widoczną siłą woli jedynie zachowywał pozorny spokój.

— Ona musiała być wciągnięta w zasadzkę — odpowiedział głucho.

— Durieult — rzekł sędzia, kładąc rozmyślnie nacisk na każde słowo — pan wiesz coś o tej tajemniczej sprawie?

Gruby Ludwik milczał chwilę.

W jego głowie zrodziła się myśl zemsty nad tym Germonpré, nad człowiekiem, który mu zabrał kochankę. Zapragnął stanąć z nim oko w oko.

— Nie chcę od pana usłyszeć przymusowego, nagłego wyznania — mówił dalej p. Noileau — zastanów się pan dobrze.

Durieult dyszał ciężko; grube krople potu wybiegły na jego skronie, serce biło gwałtownie.

— Czy znasz pan Germonpré'a? — zapytał powtórnie sędzia.

Ze spokojem artystycznie udanym, Gruby Ludwik starał się zebrać rozpierzchłe myśli.

— Germonpré'a? — szepnął po chwili — Germonpré'a? Tak, bez zaprzeczenia, nazwisko to jest mi znajome... Germonpré... Germonpré... Tak... jestem pewny... Ale może dlatego, że tak często widywałem to nazwisko drukowane w dziennikach... Czy może też dlatego, że je gdzieś już spotkałem... Nie. Fotografie ofiar były publicznie wystawione... jego zaś nie widziałem. Gdybym go mógł zobaczyć... przekonałbym się natychmiast.

Durieult, idąc za swojem pragnieniem, działał w myśl sędziego Noileau. Ten nie przerywał oskarżonemu.

Gruby Ludwik, podniecony pragnieniem zobaczenia swego rywala, dodał usłużnie:

— Jeżeli znam tego człowieka, to uczynię, co tylko będzie w mojej mocy, by dopomódz panu sędziemu.

— Nic łatwiejszego! Stanie on natychmiast przed panem.

Durieult odetchnął z widoczną ulgą.

Po chwili milczenia zapytał, udając obojętność i zimną krew, lecz głosem cokolwiek drżącym, aż nadto przez zmęczenie usprawiedliwionym:

— Przepraszam pana, czy mogę jeszcze zadać jedno pytanie? Toby mi pomogło...

— Proszę.

— Czy ten Germonpré... miał naprawdę, jak mi to pan wspomniał, bliższe stosunki... ze swoją ofiarą?

— Sam to przyznał otwarcie.

Z widocznym uporem, blady, szepnął Gruby Ludwik przez zaciśnięte zęby:

— Może on kłamał, chwalił się?

— Bynajmniej; badanie i autopsya wykazały to jasno.

Sędzia, mowiąc to, szukał czegoś w aktach. Nie zauważył błysku wściekłości, ani nerwowego kurczu, który przebiegł twarz młodego człowieka. Gdy p. Noileau podniósł głowę, miał już przed sobą człowieka na pozór spokojnego i łagodnego. Durieult nadludzkim wysiłkiem ukrywał nienawiść, która nim miotała.

— Na dziś zakończymy to badanie — rzekł sędzia. — A więc pan stanowczo zaprzecza?

— Tak, zaprzeczam — zawołał Gruby Ludwik — Oh, gdybym tak nie miał obowiązku do spełnienia — dodał powoli — gdyby nie przekonanie, że muszę dopomódz sprawiedliwości do odnalezienia mordercy Joanny i zemszczenia się nad nim, tak, miałeś pan słuszność, to jest moim obowiązkiem... i gdyby nie to, pozwoliłbym ze sobą robić, co sami zechcecie... Nie dbam o życie tembardziej, że teraz jej niema przy mnie... jej... Janiny!

Łkanie głos mu złamało. Dwie duże łzy błyszczały na rzęsach. Otarł je prędko i rzekł, uśmiechając się z przymusem:

— Niech mi pan wybaczy, panie sędzio. Jestem silnie zdenerwowany, wyczerpany i jeszcze chory po wczorajszem przejściu. Gdyby mi pan pozwolił odpocząć do jutra, byłoby to lepiej dla wszystkich.

— Owszem, pozwalam panu odpocząć.

Durieult, podpisawszy zeznanie uczynione, udał się za dozorcą.

Pan Noileau niespokojny, rozgorączkowany, chodził po swojej kancelaryi.

Ciekawy był, co przyniesie konfrontacya Grubego Ludwika z Germopré'em.

Czy niewinność tego ostatniego wykaże się nareszcie, czy też przeciwnie, będzie on głównym aktorem odegranego dramatu?

Godziny biegły nadzwyczaj powoli dla pana Noileau. Żałował prawie, że przystał na prośbę Grubego Ludwika i że nie przyspieszył rozwiązania.

. . . .

Nazajutrz o naznaczonej godzinie p. Noileau wezwał do siebie Grubego Ludwika.

Więzień wydawał się zupełnie spokojny. Nikt nie mógł odgadnąć uczuć, które nim wstrząsały. Noc całą spędził bezsennie, myśląc, jakby zemścić się na Germonpré'em, tak, by ten cierpiał najwięcej, by odpokutował tortury, które on teraz przechodził na myśl, że ukochana kobieta należała do tego przybłędy. Gruby Ludwik stanął przed sędzią z planem już gotowym w myśli.

Pan Noileau przemówił do niego bardzo poważnie:

— Durieult, za chwilę staniesz pan przed oskarżonym Germonpré. Pomyśl pan, że to zeznanie będzie bardzo ważne na przyszłość. Cobądź pan zamyślisz uczynić, pamiętaj, że kłamstwo może się okazać fatalne w skutkach.

— Zastanowiłem się dostatecznie — odpowiedział kochanek Janiny Bernay.

Sędzia zadzwonił. We drzwiach stanął dozorca.

— Proszę przyprowadzić oskarżonego Germonpré — rozkazał.

Dozorca wyszedł a po chwili Germonpré wszedł w asystencyi policyantów. Na jego widok Gruby Ludwik podskoczył, oczy rozwarły się mu szeroko, twarz pokryła się siną bladością.

— On zna tego człowieka — pomyślał p. Noileau, który go śledził.

Germonpré zdawał się być zupełnie wyczerpany. Od kilku dni umieszczono go już w szpitalu więziennym, przez wzgląd na niepokojący stan zdrowia. Nie wiedział, dlaczego wezwano go przed sędziego i ze zdziwieniem patrzał na człowieka, będącego w kancelaryi, który zapewne, jak sądził, musiał być więźniem, tak jak i on.

— Czegóż jeszcze chcą odemnie — szepnął słabym głosem.

— Zaraz się pan dowiesz — odpowiedział p. Noileau a zwracając się do Durieulta, dodał:

— A teraz mów pan: czy znasz pan tego człowieka?

— Panie sędzio — odpowiedział spokojnie Gruby Ludwik — obiecałem panu dopomódz do wyświetlenia tajemnicy z ulicy Clichy... dotrzymam obietnicy, ale błagam pana: pozwól mi mówić, choć opowiadanie moje wyda się panu długie. Na wszystko nadejdzie kolej.

I mówiąc to, rzucił ku Germonpré'mu spojrzenie pełne nienawiści i złości.

— Ja muszę panu opowiedzieć całe moje życie...

— Stanie się tak, jak pan sobie życzy — odpowiedział sędzia. — Duval! — dodał, zwracając się do protokolanta — proszę spisać to, co pan zezna.

Gdy pisarz był już gotów, Gruby Ludwik stojąc o kilka kroków od Germonpré'a, który osłabiony zsunął się na krzesło, podane mu z rozkazu sędziego, zaczął opowiadać głosem spokojnym, jak gdyby miał przemowę przed licznem audytoryum.

— Jeżeli źle się pokierowałem, używając utartego frazesu, to nie przez atawizm, ani namiętność do alkoholu, ani przez złe towarzystwa, tylko przez niesprawiedliwość. Mając lat ośmnaście byłem zupełnie porządnym chłopcem, spokojnym i pracowitym w usługach pewnego znanego przemysłowca. Pewnego dnia mój pryncypał polecił mi uskutecznienie małej wypłaty. Gdy przybyłem na miejsce, gdzie miałem załatwić tę sprawę, zauważyłem brak 50 franków. Czyżbym je zgubił, czy też może pryncypał źle mi obliczył? Naturalnie nie ośmieliłem się przy nim przeliczyć pieniądze, które mi wręczył. Nie chciał mi uwierzyć. Nieprzebłagany, surowy, jak wszystkie podobne mu kanalie, wypędził mnie od siebie, grożąc, że każe mnie aresztować, jeżeli mu natychmiast nie zwrócę szkody. Rodzice moi, biedni wyrobnicy, nie zawahali się ani na chwilę. Łatwiej im było uwierzyć człowiekowi, cieszącemu się ustaloną opinią, niż mnie, który byłem jeszcze młodym, lekkomyślnym chłopcem. Po strasznej scenie z rodzicami, dotknięty boleśnie w mojej miłości własnej, wydaliłem się z domu i nie powróciłem więcej.

— Czy to tłómaczy życie, jakie pan później prowadziłeś?

— Nie, ale było jego powodem. Co miałem robić? Sam, bez grosza, bez polecenia. Czy mogłem znaleść jakie zajęcie? A przecież tak szukałem! Byłem jeszcze nie zepsuty, a pieniądze miały dla mnie dotąd tę jedyną wartość, że nie dają umrzeć z głodu. Nie byłem wcale ambitny. O, ile w świecie jest stowarzyszeń, zakładów dobroczynnych... tak—w teoryi, ale nie w praktyce. Czemże jest miłosierdzie? A zresztą ja nie szukałem tego. Byłem młody, silny i zdrowy. Miałem tylko jedno pragnienie. Stać się użytecznym i módz zarobić na kawałek chleba. Tymczasem zamykano mi wszędzie drzwi przed nosem. W końcu wygłodzony, zmęczony, nie mając gdzie odpocząć, ukradłem 5 franków... To był mój pierwszy krok na tej drodze i pierwsze zapoznanie się z mieszkaniem więzień. Prędko się do tego przyzwyczaiłem. Trudno, nie miałem innego wyjścia?

— Ejże, gdyby tak każdy myślał, sami złodzieje chodziliby po świecie. Pan się buntujesz i nie uznajesz żadnych praw socyalnych.

— Przeciwnie, bo pomimo wszystkiego, muszę uznawać dziś te prawa.

— A więc przyznaje się pan do wszystkich swoich brudnych czynów?

— Najzupełniej.

— Skąd pochodzi to pierwsze znamię pod okiem?

— To towarzysz poczęstował mnie tak w bójce. Błagał mnie o zrobienie mu fałszywego podpisu, a potem łajdak sam poszedł mnie zdradzić. Naturalnie zamknięto mnie, ale po wyjściu rozprawiłem się z nim jak należy.

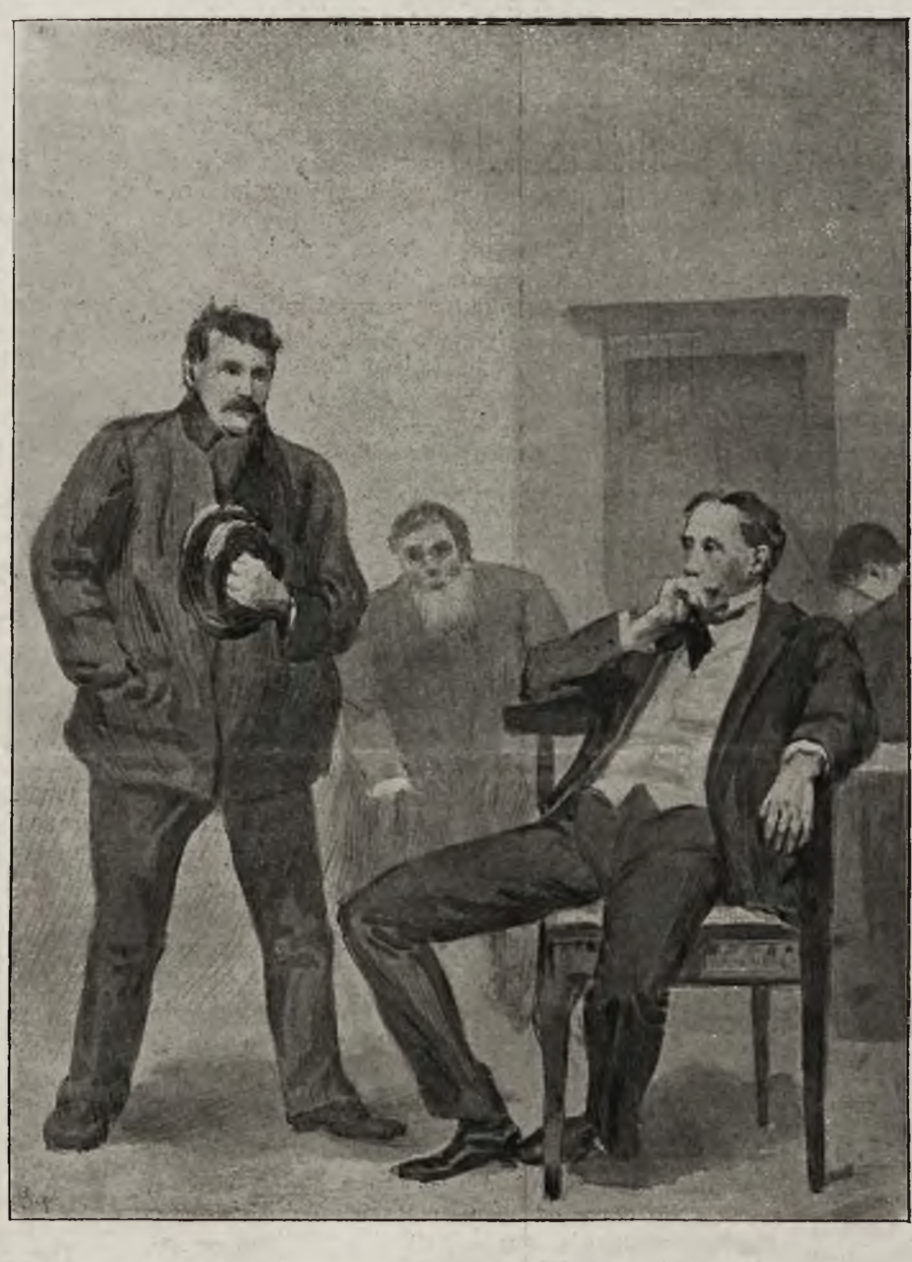
— Dobrze, a cóż pan dalej robił?

— Zapoznałem się we więzieniu z aktorem, zasądzonym za zabicie kochanki w szale zazdrości. On mi to poddał myśl założenia ajencyi teatralnej, która się później bardzo rozwinęła w różnych kierunkach. On to również nauczył mnie charakteryzować się i zmieniać do woli powierzchowność. Dlatego dziś jestem silnym brunetem, a byłem niegdyś prawie blondynem.

Mając papiery swoje w porządku, bo czego mi brakowało, to potrafiłem sobie sam podrobić, i pewną sumę uskładanych pieniędzy, wyjechałem do Belgii. Granicę przeszedłem dla ostrożności pieszo. Wiedziałem jednak, że tutaj nie dojdą mnie poszukiwania policyi, jeżeli mianoby mnie jeszcze na oku. Wszędzie, gdzie jestem, staram się nawiązać stosunki z różnymi ludźmi, którzy w przyszłości stają się moimi klientami. Usłuchałem rady jednego z nich i założyłem ajencyę w Antwerpii. Bruksela była dla mnie zanadto niebezpieczna. Mam tam za dużo znajomych.

— Pan się trudniłeś handlem żywym towarem?

Właściwie ja tylko służyłem za pośrednika dziewczętom, które pchane lenistwem, zamiłowaniem do zbytków, wiedziały doskonale, co robią i dokąd idą. Nigdy nie oszukałem, ani nie uwiodłem żadnej z nich. Przezemnie miały zapewnione utrzymanie i zdaje mi się, iż byłem z niemi uczciwszy, niż ich pryncypałowie, którzy korzystając z sytuacyi i uwodząc swoje robotnice lub służące, porzucają je potem z dzieckiem na bruk, a mimo to głoszą moralne zasady i wielkie idee.



Ja muszę panu opowiedzieć całe moje życie.

— Czy w liczbie tych dziewcząt były niepełnoletnie?

— Nie rozumiem zapytania pana. Ileż to razy słyszy się, jak jakiś jegomość chwali się, że żyje z dziewczyną dwunastoletnią i bezkarnie mu to uchodzi. A znowu uwodziciel dziewczyny, której brakuje do pełnoletności dnia jednego, ulega karze. A czy nie wydają za mąż panien w piętnastym roku? Ja tego nie pojmuję i powiem prawdę, nie chcę pojąć, aby w tem była jaka sprawiedliwość.

— Pobierałeś pan za te usługi wynagrodzenie?

— Oczywiście; czy może miałem darować je rządowi?

— I brałeś pieniądze od kobiet?

— Nigdy. Nie jestem wielkim panem z arystokracyi. Kobietom, do których chodziłem, płaciłem, jak każdy inny. I w tem to leży różnica pomiędzy niemi, a paniami ze świata. Tym my płacimy a tamte damy dopłacają, aby je wziąć... mam na myśli sprawy posagowe.

— Nie pytam się pana o osobiste przekonania pod tym względem i zaznaczam, że nie zniosę dalej tego sposobu wyrażania się.

— Wyrażam się przedewszystkiem z głęboką szczerością. Mogłem popełnić wiele świństw, ale nie jestem sutenerem, panem, którego utrzymują. Zostawiam te przyjemności drugim.

— Niech się pan najlepiej drugimi nie zajmuje. Kończ pan. Co wiesz o Janinie Bernay? Kiedy się z nią spotkałeś?

— Spotkałem ją na publicznej zabawie i postarałem się o to, by ją później jeszcze zobaczyć; prędko spostrzegłem, że była zupełnie bezsilna pod moim wpływem. Widzi pan, że nic nie ukrywam. Może nawet był to wpływ hypnotyczny, który mnie samego zadziwiał. Była mi ślepo posłuszna i często używała niezwykłych środków, byle tylko módz się ze mną zobaczyć. Mogłem, korzystając z tej przewagi, popchnąć ją do zbrodni, kradzieży — nieprawdaż? Ale nawet myśl taka nie przyszła mi do głowy. Ja uwielbiałem do szaleństwa tę kobietę, żyłem tylko dla niej! Chciałem ją widzieć szczęśliwą, ale niestety byłem ubogi. Dochody moje były niestałe i niepewne a ja chciałem jej ofiarować dostatek. Tak, nie byłem w stanie zabezpieczyć jej bytu, a nie miałem siły jej opuścić. Ta nieszczęśliwa namiętność, te dręczące mnie nieustannie troski, to pragnienie uczynienia jej bogatą, doprowadziło do nieszczęścia.'

Wobec niej jednej palił mnie wstyd za moje uczynki, o których ona nic nie wiedziała, nawet się nie domyślała. Postanowiłem zmienić tryb życia...

Muszę dodać, że Janina pomimo, iż była czystą, gdy ją poznałem, silnie zbudowana, krwista a przez to zawcześnie zmysłowo rozbudzona, dochodziła czasem do gwałtownych podnieceń, które mnie przerażały. Były to prawdopodobnie początki histeryi na tle seksualnem. Jestem zmuszony o tem mówić, gdyż ten nieszczęśliwy u niej objaw tłómaczy późniejsze fakta. Muszę jeszcze dodać, że ją kochałem szalenie, ale ona nie odpłacała mi się tem samem uczuciem. Zapewne byłem jej kochankiem, jej pierwszym kochankiem i jedynym, miała dla mnie pewną sympatyę, życzliwość, chwilami spotęgowane zmysłowem pragnieniem. Sądzę, że objaw jej uczucia i wpływ, jaki na nią wywarłem — utrzymywał jedynie nasz stosunek, który...

— Durieult — rzekł sędzia — proszę skrócić opowiadanie i przyspieszyć zakończenie.

— Tak, rozumiem; pan sędzia pragnie jaknajprędzej dowiedzieć się o szczegółach dramatu. Więc dobrze, dziś w nocy powiedziałem sobie, że byłbym podłym, gdybym pozwolił na to, by niewinny cierpiał...

Na te słowa Germonpré, drżąc ze wzruszenia powstał.

— O, tak! — zawołał — niewinny! przysięgam, że niewinny!

Gruby Ludwik spojrzał na niego złowrogo i uśmiechnął się chytrze.

— Nie mogę mówić, skoro mi przerywają — zawołał.

— Ja tyle wycierpiałem — szepnął Germonpré.

— Nie tyle, co ja — mruknął Gruby Ludwik.

— No dalej, Durieult, proszę mówić — zawołał p. Noileau niecierpliwie, chcąc nareszcie usłyszeć rozwiązanie dramatu, który dotąd był dla wszystkich tajemnicą.

— Kończę — odpowiedział Gruby Ludwik — opowiedzieć miłość moją i szczęście, jakie przeżywałem przy Janininie, jak również moje marzenia i pragnienia, by ją uczynić szczęśliwą, jest niepodobieństwem. Takie rzeczy inaczej się czuje a inaczej się mówi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zmiana rządu w Chorwacyi.

Stosunki węgiersko-chorwackie, od dawien dawna nienajlepsze, weszły w ostatnich czasach znowu w stadyum ostrego konfliktu. Oto z okazyi dyskusyi nad pragmatyką służbową urzędników kolejowych wszczęli posłowie chorwaccy w sejmie węgierskim obstrukcyę. Projekt rządowy wspomnianej pragmatyki mianowicie proteguje język węgierski także na kolejach chorwackich, w czem posłowie chorwaccy widzą dalszy krok rządu w kierunku madyaryzacyi swej ojczyzny. Nie chcąc tedy dopuścić do uchwalenia nowego projektu, chwycili się ostatecznego środka walki parlamentarnej tj. obstrukcyi.

Ofiarą tego konfliktu między rządem węgierskim a Chorwatami padł dotychczasowy ban chorwacki hr. Pejacsevich, który nie mogąc skłonić swych pobratymców do zaniechania obstrukcyi, podał się do dymisyi. Rząd dymisyę przyjął a następcą hr. Pejacsevicha zamianował dra Aleksandra Rakodczay'a, prezydenta „Trybunału banowego“.

Nowy ban Chorwacyi liczy obecnie lat 59. Urodził się w Chorwacyi, jest jednak z pochodzenia Węgrem, na co zresztą wskazuje jego czysto węgierskie nazwisko. Po ukończeniu szkół węgierskich poświęcił się karyerze urzędniczej, którą rozpoczął w budapeszteńskiem ministeryum Chorwacyi, a przeszedłszy po paru latach do sądownictwa, powołany został w 1886 r. jako prokurator do Zagrzebia. Idąc szybkim krokiem po szczeblach karyery biurokratycznej, stanął w r. 1905 na czele chorwackiego trybunału apelacyjnego.

W życiu politycznem nie brał dotąd wybitnego udziału, mimo to Chorwaci uważają nominacyę jego na bana za prowokacyę ze strony rządu węgierskiego, dr. Rakodczay bowiem swemi praktykami konfiskacyjnemi w czasie sprawowania urzędu prokuratorskiego w Zagrzebiu zdeklarował się jako wróg narodowościowego ruchu chorwackiego. To też sytuacya jego będzie od samego początku działalności bardzo trudną. Będzie miał przeciw sobie stronnictwo t. zw. rezolucyonistów, dalej partyę Starcevicza, oraz część dawnej partyi narodowej. Wobec tego przewidują politycy ewentualność rozwiązania sejmu chorwackiego.

Ludność chorwacka na odbytych w ostatnich dniach zgromadzeniach zsolidaryzowała się ze swymi zastępcami w Sejmie węgierskim i krok ich zaaprobowała. Stanowisko ich opozycyjne tedy tem bardziej nie ulegnie zmianie.

* * *

Portret nowego bana dra Rakodczay'a zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Strejk kominiarzy w Krakowie.

Pomyślny wynik strejku kominiarskich czeladników we Lwowie z przed paru miesięcy, zachęcił i towarzyszów krakowskich do podjęcia walki



Zmiana rządu w Chorwacyi: Nowy ban Chorwacyi dr Rakodczay.

o lepszy byt, o poprawę płacy i warunków pracy, pracy niesłychanie ciężkiej, wytężającej i z niejednem niebezpieczeństwem połączonej.

Bo praca kominiarzy wielko-miejskich nie należy bynajmniej do lekkich ani wygodnych. Czy zima, czy lato, pogoda czy słota—musi kominiarz w lekkiem ubraniu uwijać się po dachach, narażając swe życie, a co najmniej zdrowie, dla dobra współobywateli. Za ciężką tę swą pracę pobierają oni wynagrodzenie bardzo małe i nie mogące wystarczyć nawet na codzienne potrzeby, zwłaszcza dziś, w okresie powszechnej drożyzny.

To też już przed dwoma miesiącami zwróciła się czeladź kominiarska w Krakowie do majstrów z żądaniem polepszenia bytu, wyszczególniając postulaty swoje, których uwzględnienia żądają. Majstrowie uznali słuszność żądań czeladzi, uwzględnienie ich jednak uczynili zależnem od ulg, które sami mieli uzyskać od magistratu, a mianowicie zaprowadzenia rewirów kominiarskich i podwyższenia taryfy za czyszczenie kominów. Gdy po upływie 2 miesięcy żadna z tych spraw załatwioną nie została, na posiedzeniu poufnem przed paru dniami uchwalili czeladnicy kominiarscy z dniem 1 lipca zaprzestać pracy i postawili następujące żądania: 9 godzin pracy; podwyższenie płacy w wysokości 22, 26 i 32 koron tygodniowo (dawniej pobierali: 12, 16, 18 kor.); założenie biura pośrednictwa pracy; uregulowanie stosunku liczebnego uczni do czeladników, a mianowicie na 2 czeladników 1 uczeń, na 3 — 4 czeladników 2 uczniów; przyjmowanie uczniów do praktyki z ukończoną szkołą ludową; mieszkania dla pracujących hygienicznie urządzone; oraz aby majstrowie kominiarscy nie byli kierownikami u wdów-majstrów, lecz starsi czeladnicy.

Żądania te są bezwarunkowo bardzo skromne i zasługują na jaknajrychlejsze uwzględnienie. Wszak w ciągu kilku ostatnich lat wywalczyli sobie robotnicy wszystkich gałęzi przemysłu znacznie korzystniejsze, niż dawniej warunki, zatem i robotnicy kominiarscy na tego rodzaju poprawę zasługują.

Należy się też spodziewać, iż majstrowie do żądań swych współpracowników się przychylą, zwłaszcza, że przyznają im w zasadzie słuszność.

Idzie też o rychłe zakończenie strejku kominiarzy również ze względu na bezpieczeństwo publiczne. W razie, gdyby strejk ten dłuższy czas potrwał, łatwo mogłoby przyjść do groźnych pożarów, wskutek zanieczyszczenia kominów.

* * *

W strejku bierze udział 30 czeladników i terminatorów kominiarskich, których grupę przedstawia podana w dzisiejszym numerze rycina.

PRZYJACIEL-SMUTEK.

Choć śmiałbyś się przez cały dzień,
Nadchodzi ta godzina,
Że pada na twe czoło cień
I w sercu żal się wszczyna.

Uciekasz więc w złudzenia gmach,
Wśród gmachu korytarzy
Na jawie, jak i w twoich snach,
Twój smutek jest na straży!...



Strejk kominiarzy w Krakowie: Grupa strejkujących czeladników kominiarskich.

Kronika tygodniowa.

Wszyscy c. k. obywatele c. k. krajów koronnych w c. k. radzie państwa reprezentowanych mają teraz sposobność smucić się lub cieszyć z wyboru p. Weisskirchnera na prezydenta Izby poselskiej, a p. Zaczka i Starzyńskiego na jego zastępców. „Nowości“, jako stojące ponad stronnictwami, ani się smucą, ani cieszą — choć nie mogą się powstrzymać od ironicznego uśmiechu, widząc co nrosło z owego powszechnego głosowania, które miało zadać cios wszelkiej reakcyi, wszelkiemu konserwatyzmowi, a upiec nową, skrajnie postępową Austryę podług przepisu p. Pernerstorfera i towarzyszy. W tej starej, reakcyjnej, burżuazyjno-agraryuszowskiej Izbie byłoby niepodobieństwem wybrać na prezydenta osobistość mało wybitną, urzędnika magistratu wiedeńskiego, bezpośredniego podwładnego Luegera, a do tego gorliwego katolika i antysemitę. Ale w srodze postępowej, w liberalno-demokratyczno-radykalnej Izbie wybór ten nietylko okazał się możliwym, ale przeszedł spokojnie głosami wszystkich stronnictw, prócz socyalistycznego. Burzę wywołał jedynie wybór dra Starzyńskiego, ponieważ Rusini musieli zaznaczyć swą starą, niezmienną politykę, którą już przed laty 40 głośny publicysta Fischhoff scharakteryzował w słowach: „Eine eigene Politik haben die Ruthenen nicht; sie wollen immer nur das, was die Polen nicht wollen“ — i odwrotnie. Ponieważ więc Koło Polskie chciało mieć wiceprezydentem p. Starzyńskiego, przeto Rusini dobyli głosu baraniego i walili pulpitami, póki im gardła i sił starczyło. Był to objaw wyższej kultury, była to silna argumentacya za potrzebą założenia dla Rusinów nie tyle uniwersytetu, co wzorowego zakładu wychowawczego.

Wyobrażam sobie, jak bracia Rusini „malowali“ nas w Pradze na wszechsłowiańskim zlocie „Sokołów“, korzystając z tego, że Sokoli polscy uznali za zbyteczne i nie na czasie brać udział w tym wylewie wszechsłowiańskich uczuć. Romanse czesko-polskie wogóle raz powinny się skończyć, albo być „odesłane do komisyi“, która zbada, czy i kiedy mają być odnowione i która wygotuje zarazem dla nich odpowiedni regulamin, obowiązujący zarówno obie strony miłować się mające. Kochanek, który czasami wyjątkowo, w chwili dobrego humoru, obdarza kochankę pieszczotami, a daleko częściej, można powiedzieć z reguły, rzuca na nią obelgi, szarpie jej dobrą sławę, intryguje przeciw niej, wydziera jej majątek, spiskuje z jej nieprzyjaciółmi, rzuca się w jej oczach w objęcia byle jakiej ladacznicy — taki kochanek sam sobie winien, jeżeli kochanka go opuści, zerwie z nim wszelkie stosunki. A takim kochankiem byli i są zawsze względem nas Czesi. Pomijając dawne czasy, bo i na wołowej skórze nie spisałby dowodów „niewierności“ czeskiej, nawet w ostatnich miesiącach, w ostatnich dniach prawie, mieliśmy aż nadto „przyjemności“ od tego kochanka. Stanowisko Czechów w sprawie zatargu rusko-polskiego było z gruntu dla nas nieprzyjazne, wyzywające. Ze Ślązka każdego dnia prawie dochodzą wieści o hakatystach czeskich gorszych bodaj od niemieckich; wydzierają nam lud, czechizują polskie szkoły. Aż nadto dobrze wiemy, bo się z tem nie tają, jak wrogo są usposobieni dla naszych postulatów narodowych w Królestwie, jak drwią sobie z naszego dążenia do autonomii, jak mają bezczelność cieszyć się, że Polaków „wzięto w kluby“. I wobec tego przed kilku dniami „Narodni Listy“ śmiały pisać, że „Czesi od 30 lat cierpią z powodu naszej wiarołomnej polityki“, śmiały nam zarzucać brak zasad, szachrajstwo itd. Czuły kochanek! I kochanek ten wyciąga jednocześnie do nas ramiona i woła: Chodźcie tu bratrzy Polacy, bierzcie udział w naszych uroczystościach, wołajcie nam na zdar! śpiewajcie z nami: Hej Slovane, jeszcze nasza słowiańska rzecz żije! A gdybyśmy tego głosu posłuchali, nie mielibyśmy nawet pewności, czy Czesi (jak to tyle razy już bywało!) nie popełniliby względem nas znowu jakiego, grzecznie mówiąc, nietaktu, czyby nie obrazili naszych najświętszych uczuć. Więc dobrze się stało, żeśmy raz przyszli do rozumu, żeśmy nie pojechali do Pragi i powiedzieli sobie: dość tych romansów, dość tej fałszywej czułości.

Zresztą mieliśmy i własną uroczystość sokolską, 40-letni jubileusz Sokoła lwowskiego. Oby istniał jak najdłużej, oby rósł, mężniał, oby zdążał do tego ideału, jaki niegdyś postawił poeta starożytny, prosząc Bogów o połączenie zdrowego ducha ze zdrowem ciałem. Sokół lwowski słusznie jest dumny z tego, że on pierwszy powstał na ziemiach polskich i dlatego też nazywa się Sokołem-Macierzą. Co do tej nazwy należy jednak uczynić maleńkie zastrzeżenie, nie wypływające bynajmniej z „patryotyzmu krakowskiego“, lecz z miłości prawdy. Jeżeli Sokół lwowski uważa się za „macierz“ sokołą ze względu na chronologię, to zgoda. Ale żeby on dał impuls zakładania gniazd sokolich w całym kraju i był również pod tym względem „Macierzą“, to nie zgadza się z rzeczywistością. Sokół lwowski istniał lat 17 sam jeden i nie znalazł naśladowców. Idei sokolskiej nie zrozumiano poza Lwowem, zachowano się wobec niej obojętnie. Więc zaszczyt dla Lwowa, że wytrwał, że przełamał trudności. Ale może tylko jeden Sokół stanisławowski był dzieckiem tej „macierzy“, może zresztą ta „macierz“ miała jeszcze dwoje, troje potomstwa. Powstanie innych Sokołów — trzeba przyznać *suum cuique* — zawdzięczamy Czechom. Ich wycieczka sokolska w r. 1884 do Krakowa miała wpływ decydujący. Kraków tak był zachwycony Sokołami czeskimi, tak serdecznie z nimi się zbratał, tak odczuł ideę, jaką przedstawiali, że natychmiast przystąpił do założenia własnego Sokoła. A za Krakowem poszła cała zachodnia, a po części wschodnia Galicya. W ciągu kilku lat pokryły ją gniazda sokole, a po latach kilkunastu nie było już prawie miasta w Galicyi, nieobjętego tym żywiołowym, można powiedzieć, ruchem. Więc trudno zaprzeczyć, iż „bracia naszy Czechaczkowie“ (jak ich dawniej w Polsce nazywano) położyli tu główną zasługę samem... pokazaniem się w Krakowie.

Czy „samo pokazanie się w Krakowie“ wyższych urzędników ministeryalnych ożywi naszą turystykę, jest rzeczą trudną do rozstrzygnięcia. Towarzystwo turystyczne sądzi, że tak; nie brak jednak niedowiarków, nieobiecujących sobie wiele z tej mąki chleba. Co do samego programu tej trzydniowej wycieczki, zasługiwał on na ogólne uznanie. W sobotę było dla gości wiedeńskich śniadanie u prezesa Izby handlowej, potem podano im drugie śniadańko w Wieliczce, a wieczorem miasto przyjmowało ich obiadem. W programie drugiego dnia „stało“ śniadanie w Jaszczurówce i śniadanie przy Morskiem Oku, a dzień się kończył obiadem w zakładzie dra Chramca. Trzeciego dnia podejmował gości hr. Drohojowski w Czorsztynie, obiad im dała Akademia w Szczawnicy, a podwieczorek urządził p. Ader w Jazowsku. Pierwszy raz w życiu przychodzi mi żałować, że nie jestem urzędnikiem ministeryalnym. Przejechać się bezpłatnie koleją, zjeść również bezpłatnie dziewięć (przypuszczam, że dobrych) śniadań, obiadów i podwieczorków, nasłuchać się za to wszystko podziękowań i w wolnych chwilach od talerza i kieliszka jeszcze to i owo zobaczyć — toć przecie gratka nie lada. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że szanowni goście z czem jak z czem, ale z kuchnią galicyjską się zapoznali. I jeżeli nie dostaną niestrawności (kuchnia zakopańska małą daje gwarancyę), to będą mogli długo kolegom swoim opowiadać nie co widzieli, ale co jedli w Galicyi. Bo widzieć to oni tam wiele nie mogli. Na „poznanie“ Krakowa np. udzielono im zaledwie $2^1/_2$ godzin, od $8^1/_2$ do 11. Obawiam się, czy nie nabiorą fałszywego przekonania, że na obejrzenie Krakowa tyle czasu w sam raz wystarczy.

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli Towarzystwo turystyczne dalej zechce działać w tym kierunku, to ruch turystyczny wzmoże się u nas ogromnie. Wypadałoby tylko zawiadomić plakatami, że grona urzędnicze lub inne tak z Wiednia, jak z innych miast monarchii będą podejmowane z tym samym programem (każde *menu* można by wprzód drukiem ogłosić), a chętnych nie zabraknie. Można iść w zakład, że od maja do października przepełnione byłyby hotele gośćmi... bezpłatnymi. A czy ci bezpłatni ściągnęliby płatnych, to... na dwoje babka wróżyła.

Mam przekonanie, że gdyby kwotę, wyrównującą kosztom przyjęcia tych gości, przeznaczono na umieszczenie widoków Krakowa, Tatr, Pienin w „Illustrirte Zeitung“, „Illustrated London News“ lub tp. — to rezultat dla turystyki galicyjskiej byłby pokaźniejszy. A taka rzecz da się zrobić — to prosty interes handlowy. Wolałbym również za darmo obwieść, ugościć, nakarmić i napoić dziesięciu obcych wybitnych dziennikarzy, niż nie 33, ale 330 urzędników ministeryalnych. Bo z takiego pana dziennikarza byłaby pociecha, bo każdy z nich cośby napisał, a napisane ludzie by czytali. A urzędnik co? Ot powie jednemu i drugiemu znajomemu, że się dobrze bawił i dobrze najadł, a ów znajomy pomyśli sobie: ha, pojechałbym i ja tam, ale... na tych samych warunkach.

Nie wiem, czy Towarzystwo turystyczne wpłynęło ze swej strony na piekarzy krakowskich, że cofnęli swój wyrok na mieszkańców naszego grodu wydany. W każdym razie interwencya Towarzystwa w tym wypadku byłaby całkiem naturalna, bo któżby chciał przyjeżdżać do miasta, w którem nawet świeżej bułki niepodobna dostać w niedzielę — a przecież niedziela to właśnie dzień wycieczkowy. Po zmiażdżeniu spisku piekarzy, należy się wziąć ostro do spiskujących rzeźników. Nie trzeba długo dowodzić, jaką niewygodą dla mieszkańców miasta jest niemożność dostania świeżego mięsa i świeżych wędlin w niedzielę. Stracą na tem i stosunki towarzyskie, stracą i sami pp. rzeźnicy, boć przecie nikt nie będzie zaopatrywał się „na wszelki wypadek“, w przewidywaniu, że „ktoś“ przyjść może, lub że przy ładnej pogodzie może się urządzi dalszą wycieczkę z „prowiantami“. Ale pomijając rzecz niewygody i materyalnej straty pp. rzeźników (widocznie mają tyle, że o nią nie dbają), już ze stanowiska hygieny należałoby położyć koniec tej zabawie, przynajmniej podczas lata, kiedy mięso i wędliny tak prędko się psują. Gdzie idzie o zdrowie ogółu, tam na „przyjemność“ i wygodę panów rzeźników zważać nie można.

Te wygody jednostek coraz więcej zaczynają być niewygodne ogółowi. Jeżeli tak dalej pójdzie, to w niedzielę z czasem nie będą jeździć dorożki, i chodzić tramwaje, zaryglowane będą apteki, cukiernie, restauracye itd., stróże i pachołkowie miejscy wstrzymają się od zamiatania i polewania ulic, staną koleje, zamknięte zostaną rogatki miejskie, nikt nie będzie zapalał lamp gazowych, przestanie funkcyonować wodociąg itd. To trudno — jedno prawo dla wszystkich. Jak odpoczynek, to odpoczynek. Dlaczego lepszy ma być piekarz i rzeźnik od aptekarza, restauratora, stróża, akcyźnika, lampiarza, kolejarza, wodociągarza? Policya nie będzie łapała złodziejów, straż ogniowa nie pojedzie do pożaru... o tem, że nie będzie teatrów, koncertów itd. nie potrzeba nawet wspominać. Wogóle w niedzielę cała ludność nie będzie wstawała z łóżek, bo i po co? Któż ją zresztą pnści na ulicę, kiedy stróż w niedzielę bramy nie otworzy? Na naszym padole kólczykowania świń wszystko to jest możliwe.

Tęsknota za Ojczyzną.

Kiedy z oddali tęsknię do domu,
Zwiedzając obce kraje i miasta,
Nie mam nżalić, ni zwierzyć komu
Owej tęsknoty, co w sercu rozrasta.

Dziwię się ludziom i ich bogactwu,
Ale w mych myślach raj utracony,
Ale zazdroszczę wolnemu ptactwu,
Które powraca w ojczyste strony.

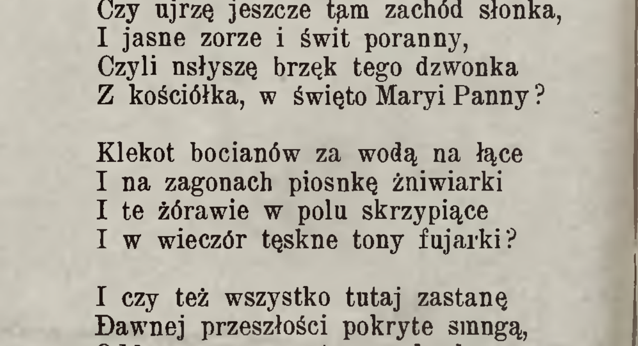
Jednemu tylko Bogu wiadomo
Czy się w Ojczyźnie jeszcze ujrzymy,
Czy ujrzę chaty pokryte słomą,
I z niskich dachów pełznące dymy?

Czy ujrzę jeszcze tam zachód słonka,
I jasne zorze i świt poranny,
Czyli usłyszę brzęk tego dzwonka
Z kościółka, w święto Maryi Panny?

Klekot bocianów za wodą na łące
I na zagonach piosnkę żniwiarki
I te żórawie w polu skrzypiące
I w wieczór tęskne tony fujarki?

I czy też wszystko tutaj zastanę
Dawnej przeszłości pokryte smugą,
Oddane serca — twarze kochane,
Których nie widzę tak długo, długo!...

K. K.



Echa morderstwa Herzensteina.

Wkrótce po rozwiązaniu pierwszej Dumy państwowej — od chwili tej upłynął właśnie rok — został zamordowany wśród tajemniczych okoliczności poseł z Moskwy J. Herzenstein, przywódca kadetów, znakomity mowca, autor projektu reformy agrarnej w Rosyi, jeden z bohaterów odradzającego się państwa rosyjskiego. Zbrodniczy czyn spełniony został w biały dzień w Terjokach, w Finlandyi, w chwili gdy Herzenstein przechadzał się po publicznym ogrodzie w towarzystwie żony i córki.

Zaraz, kiedy wiadomość o strasznej zbrodni rozeszła się w państwie rosyjskiem, wskazywano na czarne sotnie, na tych, którzy zaciętymi byli wrogami wszelkich reform i postępu, jako na sprawców śmierci Herzensteina. W gronie tego rodzaju ludzi zawiązano spisek na życie patryotów rosyjskich, którzy pragnąc ocalenia państwa, dążyli do koniecznych reform i rozszerzenia konstytucyi. W rzędzie ich stał przedewszystkiem Herzenstein i on jeden z pierwszych padł ofiarą swych patryotycznych uczuć.

Śledztwo, jakie policya rosyjska wytoczyła z powodu zbrodni w Terjokach, wykryło sprawców śmierci Herzensteina; przywódcą ich był niejaki Topolew. Oskarżono go tedy wraz z towarzyszami przed sądem finlandzkim w Terjokach i w ubiegłym tygodniu rozpoczęła się interesująca rozprawa, którą jednak następnie celem powołania nowych świadków odroczono do 25 lipca.



Tragiczny wypadek: Ś. p. Wicuś Wodzinowski. (Do artykułu na str. 10).

Ów wódz zabójców Herzensteina, Topolew, pochodzi z Lubaszowa, gdzie urodził się 1877 r. Początkowo był on pisarzem marszałka szlachty kijowskiej, potem buchhalterem na kolei rosyjsko-chińskiej w Charbinie, dalej restauratorem w Kijowie. Wypiera się kategorycznie zbrodni, twierdzi, że o śmierci Herzensteina dowiedział się z kijowskich dzienników. W Petersburgu bawił w lecie ubiegłego roku, celem wzięcia udziału w obradach centralnego wydziału pewnego związku, ale było to w innym czasie; po za Petersburg — jak twierdzi — nie wydalał się i w Terjokach nie był wcale.

Tymczasem wyniki śledztwa zupełnie inaczej rzecz przedstawiają a przedewszystkiem stwierdzają obecność Topolewa w Petersburgu oraz w Terjokach w czasie krytycznym, są też świadkowie, którzy widzieli go między mordercami Herzensteina.

W rzędzie tych świadków jest między innymi żandarm Sapolskij, dalej N. Weber, który właśnie wpadł na ślad morderców, jest wreszcie jeden z byłych posłów do pierwszej Dumy, Sorin. Wszyscy oni obciążają swemi zeznaniami oskarżonych, a przedewszystkiem Topolewa, który mimo to z cynizmem wypiera się winy.

Rozprawa przeciw Topolewowi i towarzyszom wzbudziła szerokie zainteresowanie, to też do Terjok, gdzie się przed miejscowym sądem odbywa, przybyło grono dziennikarzy, aby dokładnemi sprawozdaniami informować jaknajszersze koła publiczności.



Fot A. Drankow, Petersburg.

Echa morderstwa Herzensteina: Zbójca Herzensteina, Topolew, przeciw któremu toczy się proces w Terjokach.



Echa morderstwa Herzensteina: Grono świadków i dziennikarzy, przybyłych do Terjok na rozprawę przeciw mordercom Herzensteina. Fot. A. Drankow, Petersburg.

Rozprawa toczy się w obszernej sali sądu w Terjokach a przewodniczy prezydent sądu Selin. Bierze w niej udział także tłómacz, oraz baron Langenschild, zastępca prawny wdowy po zamordowanym Herzensteinie.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy kilka zdjęć, illustrujących tę interesującą rozprawę.



Fot. A. Drankow z Petersburga.

Echa morderstwa Herzensteina: Sala posiedzeń sądu w Terjokach podczas procesu przeciw mordercom Herzensteina.

Sokół II. we Lwowie.

Wzrastająca stale liczba członków „Sokoła-Macierzy“, zwłaszcza zaś liczba ćwiczących, skłoniła zarząd towarzystwa do podniesienia projektu pewnej decentralizacyi i utworzenia we Lwowie nowych gniazd, przeznaczonych dla poszczególnych przedmieść. Gniazda te, których przed paru laty powstało we Lwowie prawie równocześnie aż trzy, są zupełnie samodzielnemi towarzystwami, mają własne wydziały, własne grona nauczycielskie, własne fundusze — każde też z nich dąży do wzniesienia własnego gmachu ze salą gimnastyczną.

Żywotnością i ruchliwością wysunął się na czoło nowych gniazd Sokół II., przeznaczony dla przedmieścia gródeckiego; to też dzięki zapobiegliwości wydziału i prezydyum, na którego czele stoi dyr. Jan Soleski, Sokół II. pierwszy ze wszystkich zdobył tyle funduszów, iż mógł już w tym roku przystąpić do budowy własnego gmachu.

Gmach ten, którego projekt opracował architekt

Józef Piątkowski, stanie przy ul. Szeptyckich. Na miejscu budowy odbyła się ubiegłej niedzieli, w drugim dniu Zlotu sokolego, uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego. Uroczysta ta chwila, uroczysta i radosna nie tylko dla Sokoła II., ale dla całego Sokolstwa, zgromadziła prócz członków gniazda II i wszystkich innych gniazd lwowskich, spory zastęp przybyłych na zlot Sokołów, dalej mnóstwo publiczności a wśród niej marszałka kraju St. hr. Badeniego, prezydyum i radę miasta, oraz delegatów wielu lwowskich stowarzyszeń.

Przed wzniesionym umyślnie w tym celu ołtarzem, odprawił uroczystą mszę św. ks. arcybiskup Teodorowicz, poczem znakomity kaznodzieja ksiądz Dziędzielewicz wygłosił prześliczne, okolicznościowe kazanie. Z kolei odczytano akt fundacyjny, poczem prezes gniazda dyr. Soleski wygłosił krótkie przemówienie, podnosząc, iż nowy gmach będzie strażnicą idei sokolej, będzie twierdzą, od której odbijać się będą ciosy wrogów, będzie źródłem, z którego czerpać będzie ciało — siłę, duch — hart, a Ojczyzna — pożytek. Po podpisaniu aktu fundacyjnego przez obecnych i po przemówieniu jednego z najstarszych Sokołów p. Romanowskiego, dokonał ks. arcybiskup Teodorowicz poświęcenia kamienia węgielnego a wmurowaniem aktu w poświęconem miejscu zakończyła się uroczystość.

* * *

Chwilę podczas przemówienia ks. Dziędzielewicza przedstawia nasza rycina.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Echa morderstwa Herzensteina: Świadkowie, powołani do rozprawy przeciw mordercom Herzensteina. Od lewej ku prawej: Żandarm Sapolskij, N. Weber, Ławroff, Romanoff i b. poseł Sorin.



Włodzimierz Malawski, tenor opery lwowskiej.

Włodzimierz Malawski.

Jak przed laty kilkunastu był filarem krakowskiego „chóru akademickiego“, a następnie filarem lwowskiej operetki, tak dziś jest filarem opery polskiej. Można to o p. Malawskim powiedzieć śmiało i bez przesady. Obdarzony bowiem z natury prześlicznym głosem tenorowym, silnym, miękkim i niesłychanie dźwięcznym, obdarzony przytem ogromną muzykalnością i wysoką inteligencyą, opanował w przeciągu kilku lat czterdzieści z górą partyj operowych i śpiewa je z niezwykłem powodzeniem.

Jak wybitną indywidualnością artystyczną jest p. Malawski, dowodem niech będzie fakt, iż w ubiegłym sezonie operowym we Lwowie dźwigał na swych barkach razem z p. Bandrowskim, który jednak śpiewał tylko partye bohaterskie i dramatyczne, cały repertuar. Towarzyszyło mu stale we wszystkich występach powodzenie, towarzyszyły oklaski i ze wszech miar zasłużone uznanie krytyki. Podziwiano nietylko piękność głosu młodego śpiewaka, ale i jego żelazną wytrwałość, która pozwalała mu śpiewać kilka ciężkich, trudnych partyj operowych w tygodniu, podziwiano jego grę doskonałą, jego nadzwyczajną muzykalność.

Prócz mnóstwa dawniejszych ról, kreował p. Malawski w ostatnim sezonie cały szereg ról w operach, wystawionych po raz pierwszy w teatrze lwowskim. Śpiewał więc rolę tytułową w „Wertherze“ Masseneta, w „Amico Fritz“ Mascagniego, w „Żydzie polskim“ Weissa, dalej Leńskiego w „Oneginie“, Robaka w „Panu Tadeuszu“ Wydżgi, a wreszcie Mimego w „Zygfrydzie“ Wagnera.

Zwłaszcza tą ostatnią partyą zachwycił p. Malawski publiczność lwowską. A sukces ten był niespodziewany. Głos bowiem p. Malawskiego ma charakter liryczny, obawiano się więc, czy podoła dużej, dramatycznej partyi Mimego, tem więcej, że miał ją śpiewać obok tak znakomitego wykonawcy ról Wagnerowskich, jak Bandrowski. Tymczasem młody śpiewak stworzył ze swej nowej roli postać tak plastyczną, tak skończoną dramatycznie, a głosowo wywiązał się z zadania tak świetnie, iż krytyka nie miała dlań dość słów uznania.

Publiczność krakowska przyjmuje p. Malawskiego bardzo serdecznie i darzy go po każdym jego występie gorącymi i hucznymi oklaskami w podzięce za tyle miłych wrażeń, jakie mu zawdzięcza.

tr.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Sokół II. we Lwowie: Kazanie ks. Dzięzielewicza podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach Sokoła II. we Lwowie.

Fryderyk Rukawina.

Znaczenie i rola orkiestry w operze jest niesłychanie doniosłą. Zwłaszcza w muzyce nowoczesnej, w szczególności w Wagnerowskiej, wysuwa się ona na pierwszy plan i od niej zależy w pierwszej linii powodzenie danego dzieła. Równorzędnie tedy i zadanie kapelmistrza orkiestry staje się trudniejszem, ale też i wdzięczniejszem. Panując nietylko nad całym zespołem ale i nad każdym członkiem orkiestry, może kapelmistrz wydobyć z wykonywanego utworu i uwypuklić najpiękniejsze szczegóły, a rozumiejąc i odczuwając intencye kompozytora, przelać myśl jego w dusze słuchaczów. Oczywista rzecz, że jest to tylko wówczas możliwe, gdy orkiestra ma w swojem gronie muzyków utalentowanych, inteligentnych i karnych.

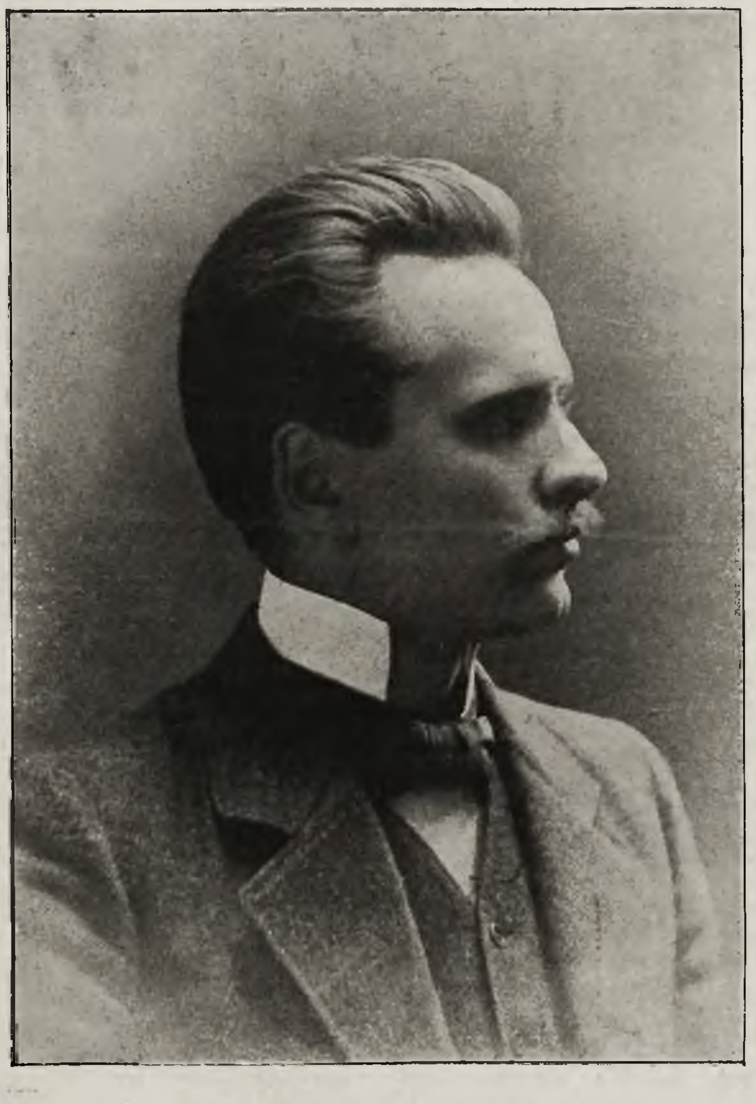
Orkiestra teatru lwowskiego ma pod tym względem opinię od wielu lat ustaloną i jak najlepszą. Zorganizowana swego czasu przez wielce zasłużonego muzyka i kompozytora Henryka Jareckiego, pracowała następnie pod takimi mistrzami jak Czelański, Podesti, Spettrino, Ribera. W repertuarze swoim ma też ona cały szereg oper, których wykonanie przynosi jej prawdziwą chlubę.

W Krakowie na czele tej orkiestry stoi w tym sezonie, podobnie jak w poprzednim, młody ale niezwykle utalentowany muzyk, p. Fryderyk Rukawina. Chorwat z pochodzenia, ukończył początkowe studya w ojczystym kraju, a dalsze w konserwatoryum w Pradze. Na wstępie swej karyery artystycznej pracował w orkiestrze teatru lwowskiego za dyrekcyi Pawlikowskiego, potem był zast. dyrektora tow. muzycznego w Lublinie, a wróciwszy do Lwowa został korepetytorem chórów operowych. Kiedy następnie dyrekcya teatru lwowskiego przeszła w ręce p. Hellera, ten oceniając wybitne zdolności młodego muzyka, powierzył mu zaszczytne stanowisko kapelmistrza opery. Już w zeszłym roku miała publiczność krakowska sposobność zapoznać się z p. Rukawiną i ocenić należycie jego pracowitość, jego niezwykłą muzykalność i inteligencyę prawdziwie artystyczną. Nie można zaś zapomnieć, że warunki, wśród jakich p. Rukawina rozpoczął swą działalność kapelmistrzowską, były bardzo ciężkie. Soliści — z nielicznymi wyjątkami — byli ludźmi niewątpliwie wysoce utalentowanymi, ale podówczas dopiero u progu karyery, brak im więc było rutyny, brak obycia ze sceną. To też nawet wznowienia granych dawniej oper połączone były z niemałemi trudnościami, a tem więcej wystawienie kilku nowych. Jeśli więc w tych warunkach wyszedł p. Rukawina obronną ręką, to należy mu to poczytać za dowód wysokich zdolności.

Sezon operowy tegoroczny we Lwowie, gdzie p. Rukawina był kapelmistrzem obok p. Ribery, potwierdził w zupełności zdanie i opinię, jaką sobie wyrobił w Krakowie. Prowadził on tam z bardzo dużem i jednogłośnem uznaniem cały szereg oper, a wystawił samodzielnie kilka nowych. Wśród tych na pierwszem miejscu wymienić należy wspaniałe dzieło Żeleńskiego „Starą baśń“; wykonanie tej prześlicznej polskiej opery przyniosło p. Rukawinie najzupełniej zasłużone pochwały i oklaski. Było ono też niejako egzaminem dojrzałości, który sympatyczny dyrygent złożył „summa cum laude“.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret p. Rukawiny.

tr.



Fryderyk Rukawina, I. kapelmistrz opery lwowskiej.

Z lwowskiego bruku.

(Ostatni tydzień przed kanikułą. — Zlot Sokołów i jego skutki. — Z wystawy hygienicznej. — Pewien zazdrosny profesor i jego żona. — Niebezpieczny jegomość. — Niedoszły kuzynek. — Sprawa wyjaśniona — Z braku miejsca).

To może był ostatni wesoły i pełny tydzień sezonu, po którym zacznie się brzydka kanikuła.

Rozpoczął się hucznie i wesoło, bo dekoracyą miasta i piękną uroczystością sokolą. Czterdziestolecie Sokoła-Macierzy i zlot Sokołów poruszyły całe miasto z gruntu. Zapomnieli ludzie, że gorąco straszliwe i wszystko podążyło na boisko, aby zobaczyć prześliczny popis, ostatni wyraz sprawności.

Ale miastu samemu zlot dał się srodze we znaki. Sokoli mają znany apetyt i tak dokładnie wypróżnili wszystkie restauracye, kawiarnie i cukiernie, że Lwów potem przez cały tydzień musiał pościć, bo w żadnej restauracyi nic porządnego nie można było dostać. Wszystko zjedli, wszystko wypili i pojechali. Trzeba było widzieć, jak kelnerzy upadali z pracy, jak płatniczym pękały torby od pieniędzy, jak trudno było wszędzie o kawałek miejsca, i jakie spocone tramwaje przepełnione szły w niedzielę wieczorem ku dworcowi kolejowemu, ażeby pojąć, co to był za zlot.

A zleciało się Sokołów i Sokolic nietylko bardzo wiele, ale i same piękne egzemplarze. Chłop w chłopa, jak mur, każdy zdrowy, czerstwy, zahartowany, co wszystko razem świadczy o tem, że prowincya nie śpi. Nasze panie, te piękne i młode, aż się oblizywały przypatrując się tej muskularnej prowincyi. Nie znaczy to, by lwowscy chłopcy wyglądali mniej dziarsko. I owszem. Suchotniczy Lwów ma wcale zdrowych Sokołów. Przecież mamy od tego naszą hygienę, którą obecnie wystawiamy.

W dwóch dniach zlotowych zwiedziły tę wystawę nieprzeliczone tłumy. Na placu powystawowym działy się rzeczy nie do opisania. Dlatego ich nie opisuję szczegółowo a ograniczam się do opisania jednej sceny. Jakiś pan — powiadają, że nauczyciel gimnazyalny, czego nie stwierdziłem — przyszedł w towarzystwie swojej żony na wystawę. On podtatusiały, ona wprawdzie już dawno zapomniała, kiedy była podlotkiem, ale jędrna i podobno bardzo tego... niby z temperamentem. Zwłaszcza wobec męża. On jako nauczyciel z pewnością uczniom swoim tyle „dwój“ nie sypie, ile ona jemu. Za to pan profesor rewanżuje się swojej żonie inną monetą. Jest mianowicie zazdrosny, jak mąż Desdemony i o byle drobnostkę robi piekielne awantury. Z cichego pantoflarza robi się w jednej chwili rozjuszony lew z pazurami i to bez względu na to, czy dzieje się rzecz w domu, czy na ulicy, albo nawet w teatrze. Pani profesorowa, jako się rzekło, acz nie młoda, ma jednak temperament i coś jeszcze, jakieś bliżej nieokreślone coś, które na nią ściąga oczy ludzi, w szczególności mężczyzn. Nawet odwracają się za nią i jeszcze przez chwilę patrzą. Pan profesor atoli jest dziwnym człowiekiem i wini swoją żonę o to, że się za nią ludzie oglądają.

* * *

To wszystko, co tu napisałem wiem z opowiadania tylko a sam fakt z placu powystawowego przedstawia się następująco:

Pan Rutkowski (słynny pyrotechnik lwowski) puszczał właśnie swoje młynki i rakiety, a dokoła fontanny świetlnej zgromadziły tysiączne tłumy publiczności. Znalazł się tu i pan profesor z małżonką. Wszystko patrzyło w ognie sztuczne lub w niebo, idąc wzrokiem za syczącą rakietą, a tylko jeden jegomość, który nad ognie sztuczne przekłada ogień naturalny, patrzał zawzięcie w oczy pani profesorowej. Panu profesorowi nie podobało się to oczywiście i ująwszy swoją żonę przeniósł się na inne miejsce. Ale uporczywe oczy ognistego jegomościa prześladowały panią profesorową a pan profesor omal sam nie przemienił się w jakiś wulkaniczny „fajerwerk“ i wreszcie wybuchnął:

— Dosyć tego!

Ale huknął tak głośno, że całe otoczenie zwróciło uwagę na tę parę a pani profesorowa przeczuwając burzę zaczęła szybko uciekać. Za nią podążył mąż a za nim ów zagadkowy jegomość.

Tak szli gęsiorem we trójkę szybkim krokiem i przeszli cały plac powystawowy. Gdy mieli wsiąść do tramwaju, odwrócił się nagle profesor i chciał natrętnemu towarzyszowi wymierzyć policzek. Już dłoń profesorska była w powietrzu, gdy nagle uchwycił ją towarzysz.

— Co robisz waryacie?

— ???

— Nie poznajesz mnie??!

— A niech cię dunder! — zawołał uradowany profesor — a cóż ty tu robisz?

— Przyjechałem na zlot Sokołów, stoję na placu, patrzę na Andzię i na ciebie, ale wiesz, że jestem krótkowidzem i nie mogłem się zdecydować, czy mam przystąpić, czy nie, bo nie wiedziałem czy to wy, czy nie wy...

— A niechże cię, a to dopiero! Gdzież Andzia... o, o... o! Ona już w tramwaju a tramwaj ruszył bez nas. Jedź ze mną kuzynie drogi, do domu, będziesz u nas nocować. A to się Andzia zdziwi, haha!

Nie wiem, co było dalej, ale musiało tam w domu być dużo śmiechu. Nazajutrz opowiadał o tem p. profesor w handelku i sam śmiał się najwięcej. Kuzynek śmiał się mniej, choć nie wiem czemu. Może miał powód.

Brak miejsca nie pozwala mi już na inne notatki z bruku lwowskiego, dlatego tak ważne rzeczy, jak strejk dorożkarzy, zlotową drożyznę, koniec roku szkolnego, wyjazd teatru, defraudacyę bez defraudacyi i dużo inych spraw jestem zmuszony odłożyć do następnego listu.

Kl.

Gęś i prosię.

(Bajka).

Gęś raz rzekła do prosiaka,
Przypatrzywszy mu się dumnie:
„Jakiś ty — patrz! a ja jaka!
Jakie białe skrzydła u mnie!
Jak ja moją szyją gietką
W każdą stronę ruszam prędko!
Ty — plugawy, gruboskóry
Nic natura twa nie pragnie,
Jak wleść tylko do bajury
I dzień cały moknąć w bagnie!
Nie zazuała twa natura,
Co to skrzydła, co to pióra!...“
Prosie ryj podniósłszy wązki,
Kwikło z żalem kilka razy
I ozwało się do gąski:
— „Moja pani! bez urazy,
Choć oceniasz mnie tak brzydko,
Jesteś zwykłą hipokrytką!
Chociaż różny mamy wygląd,
Jam powolny — tyś tak rącza,
Należymy do tych bydląt,
Których wspólne cechy łączą!...
To mnie właśnie zbliża do cię,
Że żerujem wspólnie — w błocie!...“

K. K.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

5 Ciąg dalszy.

— Jakim językiem mówisz? — zapytał baron.

— Moim własnym — odrzekł chłopiec po francusku. Nie znoszę tego, aby do mnie przez „ty“ przemawiano.

Zastanowiło to barona, a i zabawiało zarazem. Dorozumiał się, że ten chłopczyna pochodzi z jakiejś zamożnej cudzoziemskiej rodziny i że prawdopodobnie zjawienie się tego chłopca na wieży, ma jakiś związek z morderstwem.

Nie chcąc go zrazić ku sobie, przemówił uprzejmie:

— Proszę się nie obrażać, nie wiedziałem, z kim mówię. Ja tu kogoś szukam, może panicz będzie łaskaw mi powiedzieć, czy nie było tu jakiegoś pana w towarzystwie kobiety?

— Ja pana nie znam, a z nieznajomymi nie rozmawiam — odpowiedział chłopiec po francusku, również uprzejmie, ale stanowczo.

— Jestem baron Meriadec.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana barona. Jestem Szasza Pawłowicz Konstantynow.

— A więc Rosyanin?

— Tak, szlachcic rosyjski.

— A gdzież rodzice?

— Wyszli wysoko na wieżę. Ja byłem zmęczony, iść wyżej nie mogłem, więc kazali mi tu czekać. Czekam dość długo, zaglądam we wszystkie kąty, byłem nawet na szczycie wieży, a nigdzie ich znaleść nie mogłem.

— Zapewne panicz minął się z rodzicami i oni teraz na dole czekają.

— Być może, ale ja tu zostać muszę i tu na nich czekać, bo tak mama kazała.

— Bardzo pochwalam to posłuszeństwo. Jeżeli kochany pan Szasza pozwoli, to będę mu towarzyszył i również zaczekam.

— Bardzo mi będzie przyjemnie korzystać z towarzystwa pana barona.

— Czy mogę zapytać, co znaczy to ubranie ulicznika paryskiego?

— Aha! — odpowiedział śmiejąc się Szasza. — Zapomniałem o tem, że jestem przebrany. Papa powiedział, że tu teraz karnawał i że mali chłopcy z najlepszych domów przebierają się zwykle za uliczników, to też i mnie tak przebrano.

— A rodzice dawno już mieszkają tu w Paryżu?

— Przybyliśmy tu w nocy, rano zaraz mnie przebrano i wyszliśmy tu na wieżę.

— Więc zapewne zajechali do jakiegoś hotelu.

— A tak! Do hotelu.

— A do którego?

— Co to, to już nie wiem. Ale co to znaczy, że ich niema?

— Najniezawodniej kochany panie Szasza rodzice czekają na dole u wejścia do wieży. Radzę, abyśmy tam zeszli.

— Ponieważ pan jesteś baronem, więc panu ufam zupełnie. Dobrze, idźmy na dół.

Meriadec domyślał się, że chłopca chciano się pozbyć, że go dlatego przebrano za ulicznika i zostawiono na wieży. Nie wątpił, że zamordowana kobieta jest matką tego dziecka. Czyż mordercą byłby jej własny mąż i ojciec tego dziecka? Zdawało się baronowi, że owego mordercę pochwycić zdoła na wieży, dlatego po drodze wstąpił do córki dzwonnika i szepnął jej, ażeby jak najprędzej pozamykała wszystkie drzwi kratowe na wieży i nikogo nie wypuszczała. Postanowił uwiadomić natychmiast policyę, aby uczyniła staranne na obu wieżach poszukiwania. Zeszli wreszcie na dół. Chłopczyna rozejrzał się dokoła i nigdzie rodziców nie dostrzegł. Rozpłakał się żałośnie. Meriadec go pocieszał.

— Nie trzeba się niepokoić; rodzice udali się zapewne do hotelu. Proszę mi zupełnie zaufać i przyjąć u mnie gościnę. Po wypoczynku udamy się obydwaj na poszukiwanie tego hotelu, do któregoście zajechali.

— Z pana zacny człowiek; dziękuję panu bardzo — rzekł chłopiec płaczliwie. — Przyjmuję pańskie zaproszenie, zwłaszcza że mi się chce jeść i spać.

Meriadec wsiadł z chłopcem do dorożki i pojechał do swego mieszkania, na rue Cassette.

Co teraz robić z tym chłopcem? myślał baron. Jeżeli go zaprowadzi na policyę, to tam zamkną dziecko, jako pozbawione dachu i opieki, razem z włóczęgami. Jeżeli go zaprowadzi zaraz do sędziego śledczego, to dziecko mogłoby się odrazu dowiedzieć rzeczy strasznej dla siebie. Poprzestał na tem, że dziecku dał przytułek, zwrócił uwagę policyi, aby czyniła jeszcze poszukiwania na wieżach i wybierał się do sędziego śledczego, aby mu o tem wszystkiem opowiedzieć.

II.

Sprawę zbrodni, na wieży „Notre-Dame“ popełnionej, przeznaczył sąd jednemu z najznakomitszych sędziów śledczych. Był to Hugues de Malverne, pochodzący z rodziny zamożnej, powszechnie szanowanej. Miał kilkadziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu ze swego majątku, więc starczyło mu środków na to, ażeby stworzyć u siebie jeden z najmilszych ognisk towarzyskiego życia w Paryżu. Żona jego była kobietą piękną, bardzo wykształconą, lubiła się bawić, a co ważniejsze bawić się umiała. Salon państwa Malverne należał do najwykwintniejszych w Paryżu.

Życie towarzyskie nie odwodziło wcale sędziego od ścisłego wykonywania obowiązków. Słynął jako wzór sprawiedliwości; zawsze spokojny, rozważny, bezstronny, przytem nadzwyczaj bystry.

Właśnie w biurze jego znajduje się urzędnik policyjny i zdaje sprawę o zajściu na wieży.

— Zdaje mi się mój panie — mówił Malverne do urzędnika policyjnego — że tutaj policya nie spełniła należycie swego obowiązku. Być może, że człowiek ujęty jest sprawcą zbrodni, ale też prawdopodobne, że go przez pomyłkę zatrzymano. Nie tylko dowodu, ale nawet poszlak niema żadnych, że ów człowiek dopuścił się zbrodni. Przedewszystkiem należało natychmiast najstaranniej przejrzeć obie wieże, a nawet dach kościoła „Notre-Dame“, aby się przekonać, czy się tam kto nie ukrywa. Wszakże obok uwięzionego, mógł jeszcze cały tuzin ludzi znajdować się na wieży.

— Mogę zapewnić, panie sędzio — odpowiedział urzędnik policyjny — że uczyniliśmy wszystko, co potrzebne. Po odprowadzeniu uwięzionego, wróciliśmy na wieżę i przeszukali wszystkie kąty i nie znaleźli nikogo.

— Ależ to było za późno, tymczasem dziesięciu zbrodniarzy mogło było wyjść z wieży niespostrzeżenie.

— I to niemożebne, bo u wejścia na wieżę postawiliśmy straże.

— Ale zapomnieliście może panowie o tem, że z wieży można się dostać na ulicę także przez chór kościelny. Czy tam była również straż ustawiona?

— Nie wydało się nam to potrzebne, bo trudno sobie wyobrazić, aby zbrodniarz narażał się na pochwycenie przez służbę kościelną.

— Dziwnie panowie pojmujecie psychologię zbrodniarza. Przecież korzystniejsze były dla niego widoki wykręcić się służbie kościelnej, niż policyi, która u wejścia na wieżę na niego czekała.

— Mimo tego jestem pewien, panie sędzio, żeśmy pochwycili istotnie zbrodniarza. Już to samo dowodzi jego winy, że nam odmówił wszelkich wyjaśnień co do swej osoby, a nawet nazwiska swego nie chciał podać.

— To co pan mówi, panie komisarzu, dowodzi zupełnie czego innego. Zatrzymaliście przez pomyłkę jakiegoś niewinnego człowieka, należącego do lepszego towarzystwa. Kazaliście go uwięzić, odprowadzić pod strażą do urzędu policyjnego. Było to dla niego skandalem, więc nie chciał poniewierać swego nazwiska w protokołach policyjnych i w reporterskich notatkach dziennikarskich. Tak się mnie ta rzecz przedstawia i długoletnie doświadczenie pozwala mi przypuszczać, że się nie mylę.

— Uporczywie też tai nazwisko owej, z którą udał się na wieżę.

Temu niema się co dziwić — mówił Malverne — może miał jakąś schadzkę erotyczną z mężatką i nie chce jej kompromitować.

— Również i to jest bardzo podejrzane — opowiadał komisarz policyjny — że nie znaleziono ani biletów wizytowych, ani żadnego pisma, ani wogóle nic takiego, coby mogło świadczyć, kim jest właściwie; nie miał przy sobie portmonetki, a kilka sztuk złotej monety miał w kieszeni od kamizelki. Najwidoczniej z rozmysłem usunął wszystko, coby mogło służyć przy śledztwie do poznania osoby zbrodniarza.

— Ależ i to nie jest ani dowodem, ani nawet poszlakiem winy. Ileż to osób, a zwłaszcza z lepszego towarzystwa, w ten sam sposób wychodzi od niechcenia na schadzki, czy przechadzki. Przy zamordowanej znaleziono jakie przedmioty, z którychby czegoś domyślać się było można?

— Nic zgoła, oprócz bardzo cennych klejnotów. Zarówno ubranie, jak i bielizna, świadczą o zamożności. Na złotym, kosztownym zegarku, wyryta jakaś litera rosyjska, a po nad nią korona hrabiowska. Twarz ofiary jest tak rozbita, że się na niej wszystkie rysy zatarły.

— Czy pan może mi jeszcze co oznajmić? — zapytał sędzia.

— Chyba to jeszcze dodam, że strażnik na wieży jest bardzo niedbały, zostawia kratowe drzwi otworem i nad wchodzącymi kontroli nie rozciąga.

— Nie zapomnę o tym szczególe, a teraz proszę polecić komu potrzeba, aby uwięziony sam się tu do mnie zgłosił, bez asystencyi policyi. Straż policyjna niech się zatrzyma przed biurem.

Komisarz policyi oddalił się, a sędzia przeglądał jeszcze przedłożony sobie protokół w sprawie morderstwa na wieży. Po nie długiej chwili wszedł do biura jakiś elegancki mężczyzna. Sędzia rzucił okiem, uśmiechnął się przyjacielsko i zerwawszy się z krzesła, podskoczył ku przybyłemu, mówiąc wesoło:

— A ty co tu robisz? Cóż się stało, że mnie tutaj odwiedzasz? Czy tak, czy owak bardzo mi przyjemnie widzieć cię, chociaż wybacz, że tylko na krótko, bo właśnie mam przesłuchiwać obwinionego. Ale nawet nim się z tobą przywitam, już cię zburczeć muszę. Czemuż to wczoraj u nas nie byłeś? Czekaliśmy na ciebie do ósmej. Moja żona była na ciebie oburzona i jestem pewien, że jeszcze do tej chwili się gniewa.

Przybyły ze zdziwieniem spoglądał na sędziego, a nawet z wielkiem zakłopotaniem. Sędzia spostrzegł to i zapytał:

— Cóż tobie Jaques? Czyś nie chory? Może ci się co wydarzyło?

— Zaraz, nie wiem właściwie, chciałem się zapytać.....

— Ale mówże do licha; wszakże widzisz, że tu niema nikogo. No i cóż się stało?

Przyjaciel sędziego potarł czoło, widocznie nie wiedział co mówić.

— A to już dla mnie zagadka. Wyczekuję właśnie delikwenta, posądzonego o morderstwo, w tem drzwi się otwierają i wchodzi mój najlepszy przyjaciel, ale ten mój kochany Jaques nie wygląda wcale na oficera, lecz na jakiegoś delikwenta. Ponieważ nie byłeś u nas wczoraj, pomimo przyrzeczenia, a teraz tak zagadkowo wyglądasz, więc się obawiam, czy ci się nie wydarzyło jakie nieszczęście.

— Istotnie bardzo wielkie, bo oto staję przed tobą jako delikwent, uwięziony przez policyę, posądzony o popełnienie morderstwa.

Sędzia spojrzał badawczo i poważnie na przyjaciela i rzekł z widocznym niepokojem:

— Albo żartujesz, albo mówisz w gorączce.

— Ani jedno, ani drugie. Za drzwiami jest straż policyjna, która mnie tu przyprowadziła.

— Więc noc spędziłeś w policyjnem więzieniu? Dlaczego nie powołałeś się na mnie?

— Myślałem o tem, ale zaniechałem tego, aby ci nie sprawić najmniejszego kłopotu. Byłem pewien, że sędzia śledczy zwolni mnie natychmiast po przesłuchaniu i sprawa na tem się skończy. Nie przeczuwałem, że ty będziesz moim sędzią śledczym.

— Ależ właśnie bardzo dobrze się stało, że trafiłeś na mnie. Inny sędzia, który cię nie zna, musiałby ci z urzędu czynić pewne trudności w doraźnem uwolnieniu, a tobie byłoby też niemiło wynurzać się przed obcym człowiekiem. Do mnie masz zaufanie, więc nie sprawi ci to przykrości, że mi wszystko szczerze, po przyjacielsku opowiesz. Nie dziwię się temu wcale, że wstrzymałeś się od zeznań w protokole policyjnym, a nawet muszę to uznać za zupełnie właściwe, skoro mogłaby tu być narażona na szwank cześć kobiety.

— A więc znasz całą sprawę?

— O tyle, ile z protokołów policyjnych poznać ją mogłem. Wiem, że nie chciałeś odpowiadać na pytania, nie chciałeś podać swojego nazwiska. Nie wiedząc wcale, a nawet nieprzeczuwając, że ciebie o zbrodnię posądzono, domyśliłem się łatwo, dlaczego uwięziony tak się zachował. Kobieta, która ci towarzyszyła na wieżę, jest niezawodnie mężatką, więc zależało ci na tem, aby jej nie skompromitować. Prawdziwie po rycersku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. WILCZKOWSKI.

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

HUMORESKA

I.

Jęknęły przeciągle hamulce, zgrzytnęły dobitniej koła wagonów, pociąg zatrzymał się jak wryty.

Strzycki, jakby chcąc upewnić się, czy jest już u celu podróży, spytał siedzącego przy nim młodzieńca o nieokreślonej powierzchowności:

— Czy to już Hamburg?

— Pytałem pana — odparł zapytany — kilka razy już, dokąd pan jedziesz, paneś całą drogę milczał. Teraz więc, pomimo że to jest Hamburg, odpowiem panu krótko: „nie wiem!“...

Strzycki chwycił ręczne zawiniątko i wyskoczywszy z wagonu znikł w różnobarwnym i różnojęzycznym tłumie emigrantów.

— Gwarniej tu nawet, niż u mnie w domu — pomyślał — lecz tu dziesiątki tysięcy urwipołciów z całego świata, a w domu tylko dwie kobiety: żona i jej matka — i zaczął torować sobie drogę łokciami.

Wtem usłyszał za sobą wołanie:

— A, panie Strzycki, dokąd że to?

Obejrzał się i zadrżał, ujrzawszy Williama Kentleya, agenta fabryki „Patria“, dostarczającego smarów firmie, w której Strzycki pracował. Zaklął w duszy, lecz siląc się na uśmiech, odpowiedział:

— Ja, panie. Sprzykrzyło mi się niszczyć garderobą wypłowiałe firmowe stołki, więc jadę trochę się przewietrzyć.

Kentley utkwił w nim bezbarwne, rybie oczy, ziewnął i rzekł:

— All right! ja także, panie, jadę do New Yorku. Zajmijmy więc razem dwuosobową kajutę, a będzie nam raźniej. Najlepszy prawie transatlantycki parowiec „Stella“ odchodzi jutro, mamy więc dość czasu na wypróbowanie wartości miejscowych trunków. A jak pożegnał się pan z pryncypałem? Zresztą nic mi do tego, a gdybyś pan nawet miał przy sobie pamiątki po wiedeńskim Rotszyldzie, będzie ci bezpieczniej ze mną, niż z innym jakimś obieżyświatem.

Strzycki przyznał mu racyę. Oddali bagaż portyerowi i pojechali tramwajem do miasta. Tu Kentley zaproponował, by nie marnować drogiego czasu, bo „time is monney“ i namacalnie przekonać się o wysokiej wartości „whisky“ i „ginu“. Wstąpili więc do jakiejś drugorzędnej traktyerni pełnej dymu, wyziewów alkoholu i zapachu, jaki po sobie pozostawiają wychodźcy.

Kentley okazał się nie tylko znawcą, lecz i wielkim nieprzyjacielem różnych spirytualii, bo niszczył, to jest właściwie pochłaniał je w przerażającej ilości. Strzycki zaś pomimo usilnych starań i nie małej w tym kierunku praktyki, nie mógł mu dotrzymać placu. Po kilku kieliszkach whisky i paru szklankach grogu rozślimaczył się.

— Pan myśli, kochany panie Kentley, że ja uciekam do Ameryki, pożyczywszy sobie z kasy pryncypała jej zawartość. Nie, panie! Dotychczas żaden jeszcze Strzycki, herbu Trzyca, złodziejem nie był, bo byli to wszystko, nie wyłączając mnie, ludzie głupi. Tak, panie... a przytem z tego zapewne powodu bardzo uczciwi, lecz nieszczęśliwi. Każdy z nas pod pantoflem siedzi, a ja właśnie od tego pantofla uciekam. Tylko ludzie bardzo bogaci mogą sobie pozwolić na energiczne żony, choćby z tego względu, że przy małżeńskich nieporozumieniach marnuje się u nich dużo szkła i porcelany.

Wychylił duszkiem zawartość szklanki i ciągnął dalej, Kentley zaś patrzył ogłupiałym wzrokiem na muchy, łażące z trudem po spotniałej twarzy Strzyckiego.

— I byłbym może pozwalał dalej swojej magnifice próbować wytrzymałość szklanek i talerzy ze szkodą swego ciała, lecz wyobraź pan sobie, kilka dni temu, gdy wynikła jakaś bagatelna sprzeczka, żona moja, nie mając widocznie nic lepszego pod ręką, wyrżnęła mnie w łeb moździerzem...

— Co?! — wrzasnął nagle Kentley — moździerzem? No, to masz racyę, uciekając od niej, bo gdyby coraz to cięższych zaczęła używać pocisków, mogłaby kiedybądź rzucić w pana conajmuiej wrzącym samowarem. Ale ja osobiście sądzę, że jest to najzupełniej wystarczający powód, by wypić po szklance grogu...

Powodów było niemało. Strzycki pił i choć słuchał, co mu Kentley opowiadał, niewiele z tego mógł zrozumieć. Dowiedział się tylko, że Kentley'a wezwano do San-Francisco, gdzie zachorował jego stryj, bezdzietny milioner, którego nie tylko że nie widział, lecz o którym nawet nigdy nie słyszał. Nie wiedział więc Strzycki, czy życzyć Kentley'owi by stryj jego powrócił do zdrowia, czy też, żeby jak najprędzej opuścił ten padoł płaczu. Zdawało mu się tylko, że jnż jedzie okrętem i było mu dziwnie błogo i przyjemnie, choć ucznwał lekkie kołysanie, a wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy po wypiciu ostatniej szklanki grogu doznał uczucia, jak gdyby znajdował się podczas silnej burzy na mocno rozkołysanym parowcu. Zdawało mu się bowiem, że za pomocą jakiejś olbrzymiej pompy hydraulicznej wyciągają mu z wnętrzności powietrze...

Gdzie noc przepędził i w jakich warunkach, nie wiedział, dość, że gdy zjawił się na dworcu o umówionej godzinie, zastał tam już Kentley'a.

— Kajutę na „Stelli“, kochany panie, mamy już zamówioną. Którą pan sobie wybiera kabinę: górną, czy dolną?

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Z poniżej podanych zgłosek ułożyć 22 wyrazów, którvch litery początkowe i końcowe, z góry na dół czytane, dadzą polskie przysłowie: a, a, a, ba, bi, ce, da, do, e, fi, ge, glad, her, hu, jej, kin, ku, la, lan, las, le, lej, o, o, ma, mi, nat, na, ne, ne, no, nok, nów, pa, po, pe, ra, rak, rant, ri, ru, sa, se, ski, sto, stoł, ta, ta, tle, tur, u, ul, wi, zau, zar.

Znaczenie wyrazów: 1. Ciężki powóz. 2 Jezioro w Szwajcaryi 3. Przyrząd malarski 4. Miasto w Galicyi 5. Przyjaciel Mickiewicza. 6 Siłacz. 7. Wieś pod Warszawą. 8. Kostyum na maskaradę 9. Tłuszcz roślinny. 10. Duża lalka. 11. Poeta polski. 12. Angielski mąż stanu 13. Wodne zwierzę. 14. Jedna z wysp Sandwickich 15. Dyktator rzymski. 16. Napój. 17. Zegar grający. 18. Krzewiciel wiary. 19. Rzecz pospolita w Ameryce. 20. Sławny biskup gotycki. 21. Urząd w Rzymie. 22. Motor wodny.

Kwadraty magiczne.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

W miejsca krzyżyków wstawić litery w ten sposób, by litery początkowe, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły nazwisko królowej polskiej, litery zaś końcowe czytane w tym samym kierunku imię męskie W drugim zaś kwadracie litery początkowe nazwę zwierza dzikiego, końcowe nazwę jednej z rzek w Europie.

×	×	×	×
×	×	×	×
×	×	×	×
×	×	×	×

Znaczenie wyrazów: 1. Królowa polska. 2. W powietrzu brzęczy. 3 Część kościoła 4 imię męskie.

×	×	×
×	×	×
×	×	×

Znaczenie wyrazów: 1. Zwierzę. 2. Imię żeńskie. 3. Rzeka w E r ni

Rozwiązanie zagadek z Nru 25.

Łamigłówka.

Garbaty, Akta bab ńskie, Wasi ojcowie, Aktorka, Legendy, Epikurejczyk, Wrzos, Iskry Czarna krew, Za chlebem.

Gawalewicz.

Logogryf.

Pająk, rewizor, zebry, emeryt łopiany, Opatówek. Malaga, pieróg, roco o, antymon, Wojski drop e, Anczyc.

»Przełom«, »Prawda«, »Krytyka«, »Goniec«.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya: »Rapsody Napoleońskie« Wacława Gąsiorowskiego. Zbiór fragmentów historycznych.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Niedźwiński Buczacz, Wilhelm Fąferko Przemyśl, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, F. Niepokój Krosno, R. Wiśniowski Kraków, M. Burdowicz Buczacz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Przeważna ilość Szanownych Czytelników, którzy nadesłali rozwiązania, fałszywie zrozumiała łamigłówkę. Przecież w zadaniu było wyraźnie powiedziane: »Wymienić po jednym utworze z podanych powieściopisarzy itd.« Należało tedy wyszukać odpowiednie utwory.

P. J. N. w Buczaczu: Oczywiście! Każdy dziennik nie jest czem innem, jak czasopismem.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Wilhelm Fąferko w Przemyślu. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.